Nr. 36. Poznań, dnia 8 Września 1907 r. Rok XI.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść: W sprawie podręcznika do domowej nauki języka polskiego. — Wobec sejmiku „Związku Spółek zarobkowych gospodarczych". — ? . . . ! . . . † — Z Królestwa Polskiego. — Przegląd prasy. — Przegląd polityczny. — W sprawie organizacyi ogrodników i wydawania gazety ogrodniczej. — Listy od przyjaciół. — Zjazd katolików niemieckich. — Wiece, zebrania, zjazdy itd. — Z piśmiennictwa. — Wiadomości. — Nasza ofiarność. — Nekrologia. — Od Redakcyi.
Feljeton: Naród Polski pod obcem panowaniem. (Ciąg dalszy).
Powieści: Na moje sumlinje. (Dokończenie). — Ze... ...sta męża.
Ogłoszenia.

W sprawie podręcznika
do domowej nauki języka polskiego

otrzymujemy następującą odezwę:

Szanowna Redakcyo!

Sprawa elementarza polskiego dla naszych dzielnic nader jest paląca. Była dotąd często omawiana, a w rozprawach wyłoniła się niejedna zdrowa myśl. Wszelako prócz myśli rzuconych nie posiadamy dotąd nic konkretnego. Charakterystyczny to zresztą objaw w naszem społeczeństwie, że wielu wydaje fabrykantów projektów, lecz mało lub żadnych, którzyby projekty zamieniali lub umieli zamienić w czyny.

Widząc skromny poczet pochopnych do rzeczywistej, uczciwej pracy, będąc nadto przeświadczony o niedołężności naszych usiłowań we wszelkich gałęziach życia narodowego, nie zamierzam bawić się w czcze słowa, lecz uderzam w czynów stal. W tym celu udaję się do Szan. Redakcyi z prośbą o łaskawe ogłoszenie następującej odezwy, a wszelkie inne organa nasze o jej powtórzenie.

Rodacy!

Przejęty potrzebą elementarza języka ojczystego, elementarza nadającego się do skutecznego, łatwego nauczania naszych maluczkich po domach i chatach bez pomocy nauczyciela, którego w rodzinie ma zastąpić ojciec, matka, lub starsze dziecko z rodzeństwa, postanowiłem podjąć się trudnej i żmudnej pracy napisania takiego dziełka.

Czas mój jest atoli nadto absorbowany innemi, niemniej ważnemi pracami, iżbym go mógł na powyższy cel zupełnie poświęcić. Dla tego mój zamiar mogę tylko wtenczas wykonać, jeżeli sfery inteligentne społeczeństwa, a zwłaszcza pedagodzy zechcą dołożyć ręki do ważnego tego przedsięwzięcia.

Nie jestem za tem, iżby nad owym elementarzem pracowało kilku razem, gdyż — mojem zdaniem — utrudniłoby i opóźniło to znacznie wydawnictwo elementarza, zresztą „Viele Köche verderben den Brei,'' lecz pomoc społeczeństwa może w tym razie być nieoceniona dla jednostki.

Jestem świadom celu i zadań, mających być rozwiązanemi. Już obmyśliłem środki i drogi metodyczne ku wpajaniu elementów językowych.

Nie jestem przecież o tyle zarozumiałym, iżbym miał sądzić, że to, co napisać zamierzam, jest najlepszem. I w innych głowach zrodzić się może dobra, a cenna myśl.

O taką chodzi mi właśnie.

Dlatego udaję się do całego społeczeństwa, do wszystkich ludzi światłych, znających duszę i umysł dziecka, ażeby mi zechcieli pomódz w trudnej pracy.

Wielką wartość będą dla mnie miały następujące prace:

1) kompletne lekcye z tematem wpajania poszczególnych głosek,

2) lekcye uwydatniające zrozumiałe uprzystępnienie różnic pomiędzy spółgłoskami twardemi i miękkiemi, np. s — ś — si, n — ń — ni, i ich ortograficznych właściwości,

3) przykłady przechodzenia od znajomości małego do wielkiego alfabetu pisanych i drukowanych form,

4) kawałki prozaiczne i poetyczne, mające służyć do dalszych ćwiczeń w czytaniu, a nadto do rozwoju ducha dziecka od 6—8 roku z dodaniem

a) jak sobie autor przedstawia uprzystępnienie zrozumienia podobnego materyału,

b) sądu, o ile uważa obrazek etc. za pożądany ku zrozumieniu dalszego materyału przez dziecko, zwłaszcza gdzie chodzić będzie o specyficznie dydaktyczne cele,

5) wszelki materyał oryginalny, lub już skądinąd znany, byle nadający się dla dzieci, w naszych stosunkach żyjących.

Szanowne redakcye, instytucye i osoby, posiadające wydawnictwa elementarzy, przesłane im do oceny, zechcą mi ich łaskawie na pewien czas udzielić, iżbym się mógł w materyale rozpatrzeć.

Wszelkie prace i dziełka z dokładnym adresem ich właścicieli upraszam przesłać na ręce Redakcyi „Pracy,'' Poznań — Posen.

Komu będzie chodziło o zwrot dziełek, niechajże zechce prócz adresu dodać rymarkę: „Proszę o zwrot!''

Autorów lekyi i prac wybitnych poproszę do dalszej współpracy.

Na życzenie będą w elementarzu podane nazwiska autorów prac oryginalnych.

Nie należę do charakterów skorych li do niecania słomianego ognia, wszelako z góry uprzedzam, że myśl napisania elementarza, tak wielce dla społeczeństwa upragnionego, mogę tylko zrealizować przy chętnem i szczerem poparciu przez społeczeństwo.

Z poważaniem
N. N.

Odezwę powyższą umieszczamy z wielką chęcią i szczerze się cieszymy, że przecież artykuły nasze pobudziły kogoś do zabrania się do opracowania książki, która nam tak bardzo jest potrzebna.

Szanownemu autorowi odezwy dziękujemy od siebie serdecznie za podjęcie się tego trudu, bo trud to niemały. A Czytelników naszych gorąco prosimy, ażeby materyał, o który autor odezwy uprasza, raczyli łaskawie przesłać na ręce nasze. Chętnie ofiarujemy się służyć za pośrednika w tej doniosłej sprawie.

Zwracamy się z równie gorącą prośbą do naszych pism polskich, nie tylko o to, ażeby powyższą zechciały umieścić odezwę, ale ażeby od siebie zachęciły Czytelników swoich do przesyłania nam pożądanego materyału. Niech w pracy nad „podręcznikiem do domowej nauki języka polskiego“ biorą wszyscy udział, którzy potrzebę jego kiedykolwiek odczuli, i którzy o podręczniku takim wyrobili sobie własne zdanie.

Autor powyższej odezwy materyał [illegible] przerobi i zużytkuje tak, ażeby dzieło na nim oparte stanęło na wysokości swego zadania.

Rodacy! — do dzieła!

Wobec Sejmiku „Związku Spółek Zarobkowych i gospodarczych“ na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie.

Do instytucyi, które w naszem życiu społeczno-ekonomicznem nie tylko ważną odgrywają rolę, lecz i wielkie posiadają znaczenie, należy w pierwszym rzędzie także „Związek Spółek Zarobkowych i gospodarczych na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie.

Już to samo, że „Związek“ ten skupia około siebie przeważną ilość spółek naszych pożyczkowych i niepożyczkowych, znamionuje jego znaczenie i doniosłość.

Znaczenie to nabiera prawdziwej i wielkiej wagi wtenczas, kiedy myślą obejmiemy fakt, że spółki nasze stanowią poważny czynnik w życiu ekonomicznem społeczeństwa naszego jako instytucye skupiające w swoich kasach nasz finansowy ruch i majątkowy dorobek.

A ilość tych spółek rośnie z roku na rok, rośnie też i niemniej pieniężny zasób naszych spółek.

I tak liczba spółek naszych wynosiła w roku 1904 — 149, w r. 1905 — 175, a w r. 1906 — 192. Dochodzi do tej liczby za rok ostatni 27 spółek, które w sprawozdaniu patronackiem figurują jako kandydatki do Związku, a nadto 20 spółek, „z których — jak owo sprawozdanie pisze — kilka stawiło formalny wniosek o przyjęcie do Związku.“

W tych samych latach wynosiła liczba *członków* Spółek: w r. 1904 — 73 069, w r. 1905 — 81 107, w r. 1906 — 88 279. Członkowie ci wpłacili na *udziały:* w r. 1904 — 12 379 202,40, w r. 1905 — 13 934 712,15, w r. 1906 — 15 350 237,50 mrk.

Najważniejsze jednak bodaj rubryki sprawozdania patronackiego stanowia rubryka *pożyczek* i rubryka *oszczędności.* Pożyczek udzieliły spółki: w r. 1904 — 75 292 663,47, w r. 1905 — 87 685 799,19, w r. 1906 — 105 214 815,31. Sumy te pokrywały prawie w zupełności, a w ostatnim roku nawet przewyższyły depozyta czyli oszczędności. Wynosiły one: w r. 1904 — 70 616 513,58, w r. 1905 — 87 421 051,50, w roku 1906 — 107 062 057,32.

Kto zechce podjąć się trudu obliczenia sobie różnicy pomiędzy liczbami lat dawniejszych z ostatnim rokiem, przekona się, jak znaczny z roku na rok społeczeństwo nasze zdobywa sobie dorobek majątkowy. I tak z r. 1904 na 1905 wynosi ów dorobek prawie 17 milionów marek, a z r. 1905 na 1906 prawie **20 milionów marek**. Kwoty to znaczne.

Liczby powyżej przytoczone udowadniają niewątpliwie, że Związek Spółek naszych, rozporządzających tak znaczną częścią naszego majątku, jest instytucyą poważną. Nie ulega też wątpliwości, że zbierający się z roku na rok sejmik tegoż Związku, sejmik, na który zjeżdżają się delegaci spółek i przyjaciele tychże, stanowi w naszem życiu objaw, któremu przypisać należy nierównie większe znaczenie od tylu innych doraźnych zgromadzeń i wieców zwoływanych w sprawach bieżących.

To też ogół społeczeństwa naszego

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

60) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

— Generale — mówił do Skrzyneckiego — już ciągnie armia Dybicza, dażą osobno korpusy Geismara, Rosena, gwardye pod w. ks. Michałem i rozkładają się pomiędzy Bugiem a Narwią! Uderzmy zaraz na nich, to dążących z osobna łatwo pokonamy!

Ledwie po długiem wahaniu się zgodził się na to Skrzynecki. Zaczął się więc ruch między wodzami. Kołaczkowski podał plan obrony Wisły, Chrzanowski plan wyprawy na gwardye. Umiński dla zmylenia nieprzyjaciela wyruszył ku Modliszowi. W cichości, o 3ciej nad ranem, przez most słomą wysłany, wyruszył generał Rybiński z Warszawy, napadł dzielnie i w dwóch godzinach zniósł prawie zupełnie wojsko Geismara *w drugiej bitwie pod Wawrem* (31 marca 1831 r.) Również pobity został Rosen *pod Dembem Wielkiem* [1]), tak, że ledwie uszedł zupełnej zagłady. Potykali się mężnie w przedniej straży Breański, po nim Wład. Zamoyski.

W tych walkach przechodzili Litwini z szeregów rosyjskich do polskich. Tak przeszło 6000 Litwinów i walczyło później dzielnie po stronie polskiej.

Ale Skrzynecki wahał się ciągle i zwlekał. Więc Prądzyński znów ruszył sam dalej i przeszedł Kostrzyn przy Trzeieńcu, gdy generałowie Skarżyński i Chrzanowski z pod Latyczowa dążyli pod Garwolin i Żelechów, w celu strzeżenia głównych ruchów nieprzyjaciela. Pod Domanicami, na czele pułku ułanów, rozbił Mich. Mycielski dziesięć szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej. *Pod Iganiami* koło Siedlec odniósł Prądzyński nowe świetne zwycięstwo nad Rosenem i Pahlenem, osobiście, z bagnetem w ręku, na czele trzech batalionów zdobywszy stanowisko (10 kwietnia 1831 r.).

Straciliśmy już 20,000 ludzi i niewątpliwie poniesiemy w tej wojnie zupełną klęskę! — mówili już strapieni generałowie rosyjscy.

Była to bowiem chwila największej przewagi oręża polskiego i wojna miałaby dalej pomyślny przebieg, gdyby Skrzynecki nie był zwlekał i wcześniej zajął był Siedlce, jak to uczynił był Dybicz, który tem tylko się uratował, nie myśląc już wcale o przeprawieniu się przez Wisłę.

A sława tych polskich tryumfów szła już daleko i Ziemie zabrane, pomimo strasznego gnębienia przez rząd rosyjski, śmiało podniosły teraz sztandar powstania.

Powstanie litewskie ważniejsze niż na Rusi rozpoczął sam lud wiejski na Żmudzi. Chroniąc się przed poborem do wojska chłopi utworzyli hufiec zbrojny, opanowali powiatowe miasto Rossienie (26-go marca) i rozszerzali szybko powstanie w powiatach: rossieńskim, telszewskim i szawelskim. Rosyanie uciekali przed nimi i chronili się do Prus, to znów pod tą opieką wracali, mścili się nad powstańcami, palili ich wsie i pastwili się nad ludźmi, mordując kobiety i niemowlęta, a osaczeni powracali pod pruską opiekę. Cała Litwa aż do Dynaburga — z wyjątkiem Wilna, gdzie było wiele wojska rosyjskiego — rozpaliła się powstaniem. „Nadano wolność całemu wogóle ludowi.“

[1]) Wawer i Dembe Wielkie: blisko Warszawy

przebieg owych obrad, przedmiot tychże i ew. uchwały śledzić powinien z baczną uwagą i z wielkiem zainteresowaniem.

Ważny przedmiot tegorocznego *Sejmiku zapowiedzianego na 10, 11 i 12-go września do Poznania* stanowić będzie potrzeba *zmiany ustaw Związku.* Ustawy dotychczasowe określają ilość najwyższą spółek mogących należeć do Związku — na 200. Jak zaznaczyliśmy do Związku należą już 192 spółki. Kandydatek do Związku jest już tyle, że liczba ustawami określona jest już przekroczona. Znaczy to, że liczbę tę trzeba zmienić, trzeba określić wyżej aniżeli to miało dotąd miejsce.

Jedną z ważniejszych spraw, która obchodzić może ogół naszego społeczeństwa, to — stósunek spółek do Banku Związku Spółek Zarobkowych.

Stósunek ten jest tego rodzaju, że spółki nasze posiadają w Banku Związku dogodne środowisko, w którem z jednej strony składają zbytnie kapitały, a z którego z drugiej strony czerpią dogodne pożyczki w razie potrzeby. O ile więc spółki same regulują zapotrzebowanie i podaż pieniężną wśród udziałowców, t. j. swoich członków, o tyle Bank Związku znowu jest regulatorem zbytu i zapotrzebowania pieniędzy ze strony spółek.

Bank Związku Spółek Zarobkowych jest *towarzystwem akcyjnem,* założonem w roku 1886-tym przez ś. p. dr. Józefa Kusztelana, który był banku tego pierwszym dyrektorem. Na akcye te jako kapitał zakładowy Banku Związku składają się w części *osoby prywatne,* w części *spółki.* Kapitał wynosi 3 miliony marek. Z tego posiadają spółki same 2 372 000 mrk., tak że na osoby prywatne przypada zaledwie — 628 000 mrk.

Spółki finansową tę przewagę swoją wyzyskują oczywiście na swoją korzyść, i to w ten sposób, że od złożonych przez siebie w Banku Związku oszczędności pobierają większy procent aniżeli osoby prywatne, a nadto od pożyczek płacą mniej jak osoby prywatne.

Na ostatnich sejmikach ujawniała się wśród delegatów spółek dążność, ażeby uzyskać od Banku Związku w tej mierze jeszcze dalej idące ustępstwa. Nie słyszeliśmy atoli, ażeby akcyonaryusze Banku Związku prywatni ujęli się na Sejmiku o swoje interesa. A przecież przez udogodnienie warunków składania oszczędności przez Spółki i pobieranie kredytu przez nie — korzyści akcyonaryuszy prywatnych z Banku Związku są mniejsze, aniżeli wtenczas, gdyby warunki *dla wszystkich* akcyonaryuszy Banku Związku były — równe.

Uważaliśmy to za potrzebne przypomnieć szczególnie wobec tego, że z artykułu redakcyi „Poradnika dla Spółek" pod tyt. „porządek obrad tegorocznego Sejmiku" domyślać się należy, że domagania się Spółek o jeszcze większe korzyści, nie tylko nie milkną, ale zdają się stawać coraz bardziej natarczywemi. Wynika to z uwagi artykułu tego, że „spółki, których własnością jest Bank Związku, same by sobie zaszkodziły, gdyby żądały od Banku czegoś, coby było z jego szkodą." Możeby wobec tego było polecenia godnem, ażeby prywatni akcyonaryusze upomnieli się wobec Sejmiku o to, ażeby spółki zbytnio przewagi swojej wobec Banku Związku nie wyzyskiwały.

Niemniej ważną wydaje nam się sprawa — „Rolników." Kwestya potrzeby i pożyteczności tego rodzaju spółek została już przez opinię publiczną zadecydowana na korzyść „Rolników." Przeciwne „Rolnikom" głosy umilkły. Chodzi teraz o uregulowanie stósunku „Rolników" do — spółek pożyczkowych.

Wiadomo nam, że „Rolniki" korzystają w wysokiej mierze z kredytu w spółkach pożyczkowych. Nie wiadomo nam atoli jakiemi zasadami kie-

---

W lasach litewskich ukazały się liczne oddziały i rozpoczęły wojnę podjazdową. Z wodzów odznaczyli się: Karol Załuski, Ezechiel Staniewicz, ks. Gabryel Ogiński i mężna dziewica Emilia Platerówna. Ta ostatnia rodem z Inflant polskich stanęła na czele powstania jeziorowskiego blisko Dynaburga w Dusiatach i ogłosiła to licznie zgromadzonym włościanom (29-go marca). Liczono powstańców na Litwie przeszło 10,000.

Na Wołyniu i Podolu przybycie Dwernickiego, tego „dostarczyciela dział," wpłynęło bardzo na rozszerzenie się powstania, w którem odznaczyli się dzielni wodzowie: Wincenty Tyszkiewicz, Karol Różycki i Benedykt Kołyszko. Ten ostatni generał z czasów Kościuszkowskich 80 letni starzec stanął na czele oddziału 1100 jeźdźców i 130 piechoty, które zgromadziły się z trzech najwięcej południowych powiatów Podola: bałckiego, olgopolskiego i hajsyńskiego. Z Krasnosiółki nad Bohem (4-go maja) podążyli powstańcy ku północy, ściągając po drodze przybywających zewsząd ochotników.

Z rozpoczęciem powstania ogłoszono tam wolność włościanom, lecz raz uczynione ogłoszenie to nie zrobiło na nich korzystnego wrażenia.

3. Ostrołęka.

Ale po tych świetnych powodzeniach zaczęły się już klęski *Pod Kazimierzem* [1]) pobity został generał Szembek (13-go kwietnia), a Dwernicki na Wołyniu wprawdzie z 3500 wojska zwyciężył przeważające siły Rüdigera *pod Boremlem* [2]) (18-go kwietnia), lecz party potem przez pięćkroć liczniejsze siły wroga, musiał przejść granicę Galicyi *pod Lulińcami* [3]) (27-go kwietnia). Tu rozbroili go Austryacy a potem odstawili do Lublany [4]). Zapóźno na pomoc przybył mu już wysłany generał Chrzanowski, przedzierający się i walczący w ustawicznych utarczkach aż do Zamościa. [5])

Z tą klęską upadło powstanie na Wołyniu i Podolu [6]).

Tymczasem Prądzyński daremnie nakłaniał Skrzyneckiego do dalszego działania. Zamiast wyzyskać zdobytą przez zwycięstwa przewagę odrzucał on wszelkie rady i plany, prowadził pilnie układy z zagranicą, łudząc się spodziewaną interwencyą. [7]) Pod naciskiem Rządu Narodowego zgodził się wreszcie niechętnie na wyprawę na gwardye cesarskie. Korpus gwardyi, liczący 24,000 sy-

---

[1]) *Kazimierz,* w Lubelskiem, nad Wisłą, powyżej ujścia Wieprza.

[2]) *Boremel,* miasteczko nad Styrem na Wołyniu.

[3]) *Lulince,* w Zbaraskiem.

[4]) Lublana, po niem. Laibach, stolica księstwa Krainy, koronnego kraju Austryi, ma 35,000 mieszkańców,

[5]) Na chlubną wzmiankę w ostatnich walkach zasługują: Bystrzonowski, major 1 pułku Krakusów, urządzający śmiałą wyprawę do Kazimierza (17 marca); generał Sierawski, walczący z Kreutzem nad Wisłą. Legł z kosą w ręku dzielny młodzieniec Jul. Małachowski, brat ministra (18 kwietnia). Umiński rozbił szwadrony jazdy rosyjskiej pod Sokołowem i Mokobodami (21 kwietnia); tu odznaczył się major ułanów lubelskich Mik. Kamieński. — Morawski, VI, 360, 361.

[6]) Należy wymienić jeszcze nazwiska zasłużonych w tem powstaniu mężów i młodzieńców. Byli to: na Wołyniu: M. Czacki, naznaczony naczelnikiem, Olizar, Stan. Worcell, Ksaw. Godebski, Kleniewicz, Ludw. Stecki, Bogdanowicz; na Podolu: Orlikowski, Podbiedziński, Chrościkowski, bracia Sobańscy, Jełowiccy, trzej Potoccy, Wereszczyński, Korsak, Zapolscy, Rzewuski, Wacł. Tomaszewski, Korzeniowski, Krasicki, Pokrzywnicki, Dobek, Kopczyński, Malinowski, Zarczyński, Stempowski, Zaleski, Dzierżek itd. Byli między powstańcami wnuk Szcz. Potockiego i syn Sew. Rzewuskiego, pragnący zatrzeć smutną pamięć przodków. Morawski, IV, 368, 369.

[7]) *Interwencya,* z łac. wdanie się, wmieszanie się w cudzą sprawę n. p. jakiegoś państwa w sprawę państwa drugiego.

rują się spółki pożyczkowe przy udzielaniu tego kredytu. Nie chcemy wcale dopytywać się o szczegóły. Te szczegóły należą do dyskrecyi pomiędzy zarządami tak „Rolników,“ jak i odnośnych spółek pożyczkowych — są ich wewnętrzną sprawą, którą w ostatniej instancyi rozstrzyga rada nadzorcza.

Ale zdaje się nam, że opinia publiczna ma pewne prawa domagania się ujawnienia warunków, na jakich spółki pożyczkowe udzielają kredytu „Rolnikom,“ szczególnie gdy „Rolniki„ nie zawsze mają na czele ludzi nie tylko niedość fachowych, ale i niedość doświadczonych w bądź co bądź zawikłanych interesach, jakie „Rolniki“ uprawiają. Ujawnienie tych warunków przysłużyć się może do uspokojenia budzących się tu i owdzie nieufności do „Rolników“ w kołach interesujących się na równi sprawą tychże jak sprawą spółek pożyczkowych.

W ostatnim czasie poruszył w obszernym artykule w „Kuryerze Poznańskim“ p. dr. Karasiewicz z Tucholi sprawę rewizyi Spółek. Sprawa ta stała się aktualną skutkiem przeniewierzenia kilkudziesięciu tysięcy marek ze strony kasyera w Spółce *lubiewskiej* w Prusach Zachodnich. I nad tą sprawą ma Sejmik radzić. Mamy przeświadczenie, że Sejmik poważnie zajmie się propozycyą p. dr. Karasiewicza, zdążającą do *powiększenia liczby rewizorów*, umożliwiającej ściślejsze, dokładniejsze i częstsze rewizye, zapobiegające w większej mierze pożałowania godnym wypadkom defraudacyi, które i w spółkach naszych od czasu do czasu zachodzą.

Ma Sejmik także poruszyć i sprawę *Spółek parcelacyjnych*. Niechże nam jednakże będzie wolno wyrazić nadzieję, że nie stanie się to w ten sposób, jak w roku ubiegłym na Sejmiku w Pelplinie, skutkiem czego wywołana została przykra bardzo dyskusya w prasie przeciwko ks. patronowi Wawrzyniakowi. — Sądzimy — zdaje nam się, że wyrażamy tutaj sentyment całej naszej prasy, — że lepiej takich dyskusyi unikać w obopólnym interesie — tak Sejmiku i spółek, jak niemniej i prasy samej.

Poruszyliśmy tutaj kilka spraw, które wydają nam się ważne z punktu widzenia opinii publicznej. Samemu Sejmikowi życzymy w interesie dobra ogólnego jak najbardziej owocnych obrad.

Szczęść Boże.

I. M. S.

?.....!.....†.

Zabrakło nam już słów na to, by oddać uczucia, myśli, żal, gniew i oburzenie, jakie chwyta każdego prawego Polaka za serce i umysł na wieść o nowem sprzedawczykostwie.

Kurczyciele! — zdrajcy! — nikczemni! — podli! — tego zdaje się nawet być za mało.

Za mało po prostu dla tego, że wyzbywanie się ziemi ze strony polskiej dziś, po latach doświadczenia, jakiemi drogami węże-agenci snują się około niebacznych, wyzbywanie się *bez dostatecznego ubezpieczenia* tej ziemi na rzecz społeczeństwa polskiego nie inaczej nazwać można jak: urąganiem temu społeczeństwu, drwinami ze sprawy polskiej, szyderstwem rzuconem na opinię polską.

Lecz nie przesądzamy wyroku — podajemy fakta.

W końcu ub. tygodnia buchnęła wieść, że p. *Niesiołowski*, człowiek stary, nad grobem nieomal stojący, sprzedał majątek swój, *Modliszewko* w pow. gnieźnieńskim, obszaru około 3 i pół tysiąca mórg p. *Konstantemu Sulerzyskiemu* za pośrednictwem p. *Karola Swinarskiego.*

Równocześnie pojawiła się wieść, że p. Sulerzyski sprzedał Modliszewko

---

nów rosyjskich pod dowództwem w. ks. Michała, rozłożył się w kącie pomiędzy Narwią i Bugiem pod zasłoną moczarów i lasów. Rozpróżniaczonym paniczom nudziło się spędzać czas na bezczynności, więc zapytywali się tylko wzajemnie:

— Kiedyż wreszcie wejdziemy tryumfalnie do tej Warszawy? Tymczasem, nie myśląc wcale o walce, przerywali wojskom polskim komunikacyę z Litwą. Zanim Dybicz, powstrzymywany przez generała Łubieńskiego, mógł im przez Bug przybyć na pomoc, Skrzynecki zostawiwszy generała Umińskiego dla strzeżenia Warszawy, sam z główną siłą przeszedł Bug i Narew pod Serockiem (12-go maja) i wnet dopadł gwardyi *pod Śniadowem.*

Uciekajmy, wymykajmy się zręcznie! — wołali przerażeni gwardziści, widząc niechybną klęskę, jaka ich czeka od przeważających sił polskich. A Skrzynecki stał i namyślał się przez cały dzień i nie korzystał ze sposobności i nie napadał. Jakże ciężka spoczywa na nim odpowiedzialność za takie zaniedbanie i sposobności i liczebnej przewagi swego wojska! Skutkiem tego gwardye zaczęły się wymykać, a w. ks. Michał, spostrzegłszy groźne niebezpieczeństwo, zaczął się cofać ku Tykocinowi (19 maja). W takiej chwili przypadł Prądzyński do Skrzyneckiego i z założonemi rękoma błagał go:

— Generale, zaklinam cię, rozpoczynaj bitwę, pora taka!

Oburzył się Skrzynecki i zaszła pomiędzy generałami gwałtowna scena .

— Generale! — krzyknął wreszcie z żalem i gniewem Prądzyński — nie chcesz?... ja zrzucam ze siebie wszelką odpowiedzialność!

Tylko na Litwę wyprawił Skrzynecki mały oddział, 800 ludzi, pod wodzą generała Chłapowskiego. I dopiero, jakby wyrzutem sumienia tknięty, popędził w pogoń za w. ks. Michałem, gdy już Dybicz, usłyszawszy o niebezpieczeństwie gwardzistów, biegł im na pomoc, przeszedł przez Bug pod Grannem, napadł na Łubieńskiego, który z bagnetem w ręku przebił się przez jego szeregi, i wnet złączył się z umykającymi gwardzistami. Gdyby Skrzynecki był energiczny, łatwo mógł był zgromadzić 50,000 wojska i łatwo mógł był pokonać Dybicza, nie mającego więcej jak 36,000 ludzi, zanim z umykającymi daleko gwardzistami się połączył. Lecz i tę sposobność zaniedbał.

Złączone siły Rosyan zatrzymały się dnia 26 maja *pod Ostrołęką*, na lewym brzegu Narwi. Tu też niespodzianie spotkał się z nimi podążający w odwrocie Skrzynecki i tu stoczona została wielka bitwa, nadzwyczaj mordercza, trwająca 12 godzin. Rzeka Narew rozdzielała oba wojska, ale Dybicz rozporządzał teraz wszystkiemi swemi siłami i Rosyanie, oprócz ogromnej przewagi liczebnej wojska, mieli miasto i most w swoich rękach. Bitwa ta bez planu, to były drobne walki, mordowanie się wzajemne pojedyńczych oddziałów. A że po stronie Rosyan była ogromna przewaga sił, więc też przy nich musiało zostać zwycięstwo.

— Szaloną odwagą naprawię to, com jako wódz zaniedbał! — szeptał Skrzyneckiemu głos sumienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

4. Wendorffowi ze Zdziechowy, członkowi zarządu komisyi kolonizacyjnej.

Skutkiem tych wieści pojawiło się w „Dz. Pozn.“ następujące oświadczenie p. A. Niesiołowskiego:

„Proszę o umieszczenie następującego oświadczenia, tyczącego się sprzedaży Modliszewka. Mój majątek Modliszewko sprzedałem dla starości i ciężkiej choroby. Sprzedając Modliszewko p. Konstantemu Sulerzyskiemu, który sprzedał swój majątek p. hrabiemu Łąckiemu i *którego rodzinę znam od lat kilkudziesięciu,* nie mogłem przypuszczać, iż je zaraz w tak podstępny sposób zaprzepaści; tem mniej, iż podobne zaprzepaszczenie Modliszewka zastrzegłem sobie w kontrakcie notaryalnym pod karą 10,000 marek. Modliszewko sprzedałem o 60,000 marek taniej p. Sulerzyskiemu, jako Polakowi, jak mi dawał sąsiad Niemiec. Kontrakt przedłożę sądowi honorowemu, do którego czasu proszę się powstrzymać od dalszych komentarzy.“

Oświadczenie to jest wielce znamienne. Przemilcza ono przedewszystkiem fakt, że pośredniczył w sprzedaży p. Karol Swinarski, notorycznie znany jako agent komisyi kolonizacyjnej, i że dalej p. Konst. Sulerzyski sam już w r. 1900 sprzedał *Górki Zagajne* komisyi kolonizacyjnej (patrz „Czarna Księga“ r. 1900).

Miałożby to być p. A. Niesiołowskiemu nieznane? A przecież przyznaje, że p. Sulerzyskiego i jego rodzinę zna od kilkudziesięciu lat, przecież wie, że sprzedał on swój majątek p. hr. Łąckiemu! Dla czego przemilcza, że jest sprzedawczykiem?

Bo chce wzbudzić w opinii publicznej przeświadczenie, że przy sprzedaży kierował się *dobrą wolą!* Przytacza na to jako rzekome dowody ową karę konwencyonalną 10000 mk. i to że p. Sul. sprzedał swój majątek o 60000 m. taniej aniżeli dawał sąsiad Niemiec.

I to jest cenne wyznanie. Widocznie p. Niesiołowski pertraktował już z owym sąsiadem-Niemcem, a że do ostatecznej sprzedaży użył pośredników, w tem upatrywać należy *ostatnich resztek wstydu przed publicznem potępieniem.* Przeliczył się tylko p. Niesiołowski z opinią publiczną o tyle, że opinia ta zestawi wszystkie okoliczności, że zaczerpie z wszystkich jej dostępnych źródeł informacyi, że ona pamięta o tem, że syn p. Niesiołowskiego także już pohańbił nazwisko swoje sprzedawczykostwem (patrz „Czarna Księga“ r. 1900 Wronowo — pow. strzeliński), i że z tego wszystkiego jeden tylko logiczny wynika wniosek: sprzedaż Modliszewka jest aktem sprzedawczykostwa — były jego właściciel p. A. Niesiołowski jest sprzedawczykiem. Pomimo siwych włosów, pomimo wieku stanowi on niegodny przyrost niegodnego koła sprzedawczyków i „Czarnej Księgi.“

Ze stanowiska narodowego wina p. A. Niesiołowskiego tak się przedstawia: *strata* około 3 i pół tysiąca mórg. Strata to tem dotkliwsza, że Modliszewko położone jest w pow. gnieźnieńskim. Skutkiem tego powstaje poważna obawa, że *mandaty poselskie* z odnośnego okręgu, znajdujące się dotąd w rękach polskich — zostaną także stracone.

Co znaczy dla nas strata 3 i pół tysiąca mórg, co znaczy strata mandatu poselskiego, nie trudno sobie wyobrazić. Tem trudniej sobie wyobrazić, że człowiek stojący tuż nad grobem do straty tej — z rozmysłem, ze świadomością, z złą wolą, przykłada rękę.

Nie dziw, że brak nam słów na potępienie tego postępowania. Niestety opinia nasza nie ma władzy karania. Nie ma tej władzy, którą daje samodzielnym społeczeństwom *kodeks karny* przepisujący *za krzywdy narodu* kary więzienia, a nawet kary śmierci. Opinia nasza nie ma władzy odebrać p. A. Niesiołowskiemu wolności, nie ma władzy ubrania go w aresztancką kurtę — ale ma prawo powiedzenia publicznie, że na nią zasługuje. Ma prawo powiedzieć, że p. A. Niesiołowski utracił prawo, ażeby ludzie uczciwi podawali mu rękę bez narażenia się na splamienie tą samą hańbą, jaką ściągnął na siebie p. A. N.

Pan A. Niesiołowski chce się oczyścić przed sądem honorowym. Ależ sąd honorowy usprawiedliwiał nawet— N. Kierskiego! Po takim wyroku opinia sądów honorowych społeczeństwo nasze mało obchodzić może.

Wyrok opinii naszej przeciwko p. A. N. musi być tem surowszy, że sprzedaży Modliszewka dokonał w chwili, w której grozi nam wywłaszczenie, wobec czego każdy właściciel skrawka ziemi polskiej ma podwójny obowiązek: zachowania jej dla polskości! — Kto natomiast ziemię tę w tej chwili zaprzepaszcza, spotyka go podwójna za to hańba!

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 2-go września.

Kończy się już w Warszawie okres letni, a zarazem okres wypoczynku dla inteligencyi zawodowej. Przez lato panował pewien zastój w pracach politycznych, bo miasto się opróżniło, zapewne teraz niedługo rozpocznie się pewien ruch. Wybory już za pasem, bo mają się rozpocząć prawybory w końcu września, a główne wybory w połowie października, czas zatem wielki myśleć o przygotowaniach, o omówieniu akcyi, porozumieniu i t. d. Wybory zapowiadają się bardzo spokojnie. Większość zadowolona jest z polityki Koła polskiego w drugiej Izbie i pragnie, by delegacya nasza do trzeciej Izby trzymała się tych samych zasad w swej działalności politycznej. Żywioły niezadowolone zaś bądź nie przedstawiają żadnej już siły, bądź też przekonały się w czasie pierwszych i drugich wyborów, że na powodzenie liczyć nie mogą. Nie spodziewamy się też walki wyborczej, a ogół obywateli mało się wyborami interesuje i niewątpliwie ma słuszność — szkoda sił tracić na ciągłe wybory. O kandydatach tu i owdzie zjawiają się wiadomości, w sferach decydujących te sprawy wśród stronnictw wszakże nie było o tem jeszcze wcale mowy, to zatem wszystko, co się w pismach zjawia, jest płodem bujnej fantazyi różnych proroków.

W dotychczasowym wakacyjnym czasie ostatnim objawem, który więcej zainteresował ogół, będą kursy społeczne dla duchowieństwa, odbyte za zezwoleniem Arcybiskupa, a urządzone przez specyalną delegacyę, powołaną przez Stowarzyszenie robotników chrześcijańskich. Duchowieństwo jest bardzo ważnym czynnikiem, na wsi szczególniej, nie może ono stać na boku od życia społecznego i narodowego, tembardziej w czasach obecnych. Było więc rzeczą bardzo potrzebną zapoznanie szerokich sfer duchowieństwa ze sposobami działania społecznego i zachęcenie do czynnej pracy w stowarzyszeniach i do popierania wszystkiego, co może się przyczynić do poprawienia dobrobytu mas. Kursy te udały się, zjechało bowiem nanie około 600 kapłanów z całego Królestwa, a także z Litwy, Wołynia i Podola. O wykładach donosiły we właściwym czasie pisma, wspomnieć więc tylko muszę, że wielkie uznanie zyskały sobie przemówienia gości przybyłych z Poznania: ks. Wawrzyniaka, ks. Adamskiego i ks. Zimmermana. Podziwialiśmy ich tutaj, jako ludzi światłych a nadewszystko takich, po których widać, że poglądy swoje zdobyli nie z książki przy zielonym stoliku, lecz że wszystko przeżyli, a mądrość swoją wprost z życia czerpią. Podziwialiśmy dalej to silne poczucie potrzeby jedności w pracy społecznej i narodowej, to zrozumienie, że w kółkach rolniczych, w spółkach pożyczkowych i t. p. nie ma

miejsca na partyjność i politykę. Z zadowoleniem słuchaliśmy, jak ks. Adamski nawoływał kierowników stowarzyszeń robotniczych chrześcijańskich, by nie wszczynali walki z polskiemi związkami zawodowemi, wobec wspólnego przeciwnika, jakim jest socyalizm.

Związki zawodowe, t. zw. „polskie", niesocyalistyczne i bezpartyjne rozwijają się u nas bardzo dobrze, powstaje ich coraz więcej, obejmują wszystkie okolice kraju i wszystkie zawody. Najpotężniejszy z tych związków „Jedność", jednoczy robotników przemysłu drobnego posiada z górą 20,000 członków i wydaje w Łodzi własne pismo, p. t. „Jedność". Pod redakcyą Gustawa Simona powstało niedawno w Warszawie pismo tygodniowe p. t. „Życie robotnicze", które jest organem wszystkich związków zawodowych. Pod opieką księży zaś powstało przed rokiem stowarzyszenie robotników chrześcijańskich", które nie nosi żadnej nazwy politycznej, a zajmuje się li tylko sprawami moralnemi i ekonomicznemi. Przy tem stowarzyszeniu zaczęto obecnie zakładać związki zawodowe, choć jest niebezpieczeństwo, że między temi związkami a „polskiemi" może dojść do nieporozumienia, co wobec działalności socyalistów było by bardzo niepożądane, z radością więc słuchaliśmy przemówienia ks. Adamskiego, który złe następstwo takiej walki wykazywał.

Był też wśród wykładających gość z Galicyi — profesor krakowskiego uniwersytetu Czerkawski, ten wszakże mówił o sprawach bardziej teoretycznych, co z natury rzeczy musiało wywołać mniejsze zainteresowanie.

Wogóle z całych kursów wynieśliśmy wrażenie, że będą one pożyteczne i że wydadzą dobre owoce.

S. B.

Przegląd prasy.

Jak nieporozumienia, to nieporozumienia. Pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Pracy" o artykule p. *Marjana Szumana* umieszczonym w *„Kurjerze Poznańskim"* — o potrzebie organizacyi wychodźtwa naszego, które — jak przypuszcza p. Sz. — się powiększy, jeżeli projekt prawa wywłaszczenia Polaków z ziemi dojdzie do skutku. Napisaliśmy wówczas, że uważamy jako rzecz bliższą i donioślejszą pomyśleć o sposobach skierowania niedobrowolnych wygnańców z ziemi swej do miast znajdujących się na ziemi polskiej, aniżeli dyskutować o potrzebie organizacyi wychodźtwa poza granice naszej ziemi.

Z artykułu naszego wyczytał p. Sz., że posądzaliśmy go „o nawoływanie do emigracyi." Umieszcza przeto w „Kuryerze Pozn." odpowiedź, w której stwierdza — że skutkiem emigracyi zrównoważył się w ostatnim czasie *przyrost* procentualny ludności niemieckiej z polską, która od 40 lat miała pod tym względem w dzielnicy naszej przewagę.

Zdaje się, że p. Sz. posądzał nas, że nie wiemy w ogóle nic o emigracyi, o wahaniu się stosunku liczb ludności polskiej do niemieckiej, i że posądzał nas o to, że uważamy może organizacyę wychodźtwa za niepotrzebną. Wnosimy to z lekkiej ironii, którą artykuł jego jest zaprawiony.

Oczywiście z wiadomości naszych pod tym względem nie będziemy się przed p. Szumanem spowiadali. Zdaje się atoli, że ten zarzut właśnie spotkać mógłby p. Sz., który w r. 1907 proponuje potrzebę organizacyi wychodźtwa polskiego, kiedy inni ludzie pomyśleli o niej już 30 lat temu.

Potrzebujemy tylko wskazać na Westfalię, Nadrenię, na Berlin, Hamburg, Lipsk itd. Wiadomo nam, że rodacy nasi po wszech stronach Niemiec rozrzuceni, są zorganizowani, są może nawet lepiej zorganizowani od nas tutaj w kraju.

Cóż wynika za wniosek z faktu tego, że p. Sz. jako rzecz *nową* (rzekomo!) proponuje organizacyę nowych fal wychodźtwa?

Przekąs więc, z jakim p. Sz. pisze o proponowanem przez nas skierowaniu ruchu wychodźczego w razie przyjścia do skutku projektu wywłaszczenia do miast, jest co najmniej nie na miejscu.

Zresztą myśl poruszana przez nas jest co najmniej tak dobrze warta dyskusyi, jak propozycya p. Sz. No, a nie ulega wątpliwości, że narodowościowo społeczeństwo nasze lepiej by wyszło na tem, gdyby przypuszczalny, na wypadek wywłaszczenia zwiększony ruch wychodźczy udało się skierować do naszych miast. Czy się to uda w całości, czy w części tylko, tego nie chcemy przesądzać, ani uważamy za dobre rozbierać tutaj powody tej lub owej ewentualności. Nie chcemy bowiem narazić się na zarzut, który zrobiliśmy p. Sz., że „wystawia emigracyę jako konieczność i jako taką ją usprawiedliwia."

Nam chodziło wobec artykułu p. Sz. o to, ażeby w danym razie emigracyi nie brano jako — *jedynej konieczności* w rachubę, i żeby w udawaniu się do miast naszych upatrywano dążność dla społeczeństwa naszego bardziej owocną aniżeli w organizacyi wychodźtwa.

Może teraz p. Maryan Szuman nas zrozumiał?!

* * *

W ostatnim czasie narobił w kołach katolików niemieckich dużo wrzawy spór o dzieła zmarłego prof. filozofii katolickiej Schella w Würzburgu. Papież pozwolił na potępienie ustępów z owych dzieł, pochwalił nawet kogoś, który przeciwko Schellowi wystąpił. Stąd powstało oburzenie w kołach odłamu niemieckich katolików, znanego pod mianem katolików liberalnych. Ruch liberalno-katolicki wszczął w Niemczech między innymi i ów Schell.

Myśmy obojętnie niemal patrzeli na ten ruch, spór ostatni także nas mało interesował. Bylibyśmy nawet o nim przemilczeli zupełnie, gdyby nam z kół czytelników nie zwrócono uwagę na to, *jakie* stanowisko ruch ten zajmuje w Niemczech wobec narodowości nie-niemieckich.

Mamy pod tym względem autentyczny list Schella, w którym tenże skarży się na to, że

> „dużo było potrzeba czasu i dużo wysiłków, ażeby w Strassburgu i Berlinie wywołać przeświadczenie o praktyczności tego, że germanizacya duchowieństwa jedyną jest drogą do germanizacyi narodu alzackiego w jego masie — i że wtenczas odbywać się będzie bez przymusu i bez biurokratyzmu, skoro pierwszy krok mimo hałasu uczyniony zostanie: t. j. utworzony zostanie fakultet teologii katolickiej (przy uniwersytecie w Strassburgu)."

Schell przyznaje, że miano go słusznie w podejrzeniu o taki plan, broni się tylko przeciwko zarzutowi, jakoby chciał przez to ludność katolicką — protestantyzować.

Nas w tym wypadku mało obchodzi zdanie, czy „protestantyzacya, to germanizacya". A obchodzi nas ono dla tego tak mało, że za ważniejsze uważamy to cenne wyznanie Schella, że to on jest twórcą planu germanizacyi francuskich Alzatczyków za pomocą zgermanizowanego duchowieństwa.

Wyznanie to wiele nam rzeczy wyjaśnia, a szczególnie gdy rozważymy fakt, jak wielkim wpływem cieszył się Schell wśród niemieckich kół katolickich, i to kół wykształceńszych, a więc kierowniczych. Czyż zdziwi teraz kogo fakt, że na G. Śląsku, w Prusach Zach., na Warmii, w Westfalii i Nad-

renii tylu jest germanizatorów, tylu jest księży-germanizatorów? A najciekawsze to, że to są owi *liberalni-katolicy!!*

Nie dziwimy się, że Czytelnik, który nam przesłał odnośny numer „Koeln. Volksztg.", która list Schella powtarza za „Münch. Allg. Ztg." dodaje od siebie do przytoczonego przez nas ustępu uwagę: „tłumaczy postępowanie górnośląskiego kardynała Koppa!!"

Zgadzamy się zupełnie z naszym informatorem i dziękujemy mu na tem miejscu za przesłanie listu Schella. Przyczyni on się do uleczenia wielu z pośród nas z sympatyi do — liberalnego ruchu w kołach katolików niemieckich.

* * *

W kołach niemieckich budzi się nieufność pewna do działalności słynnego pastora Rosenberga z Latowic pod Ostrowem, który z Król. Polskiego sprowadzał niemieckich robotników do dzielnic naszych, ażeby ich uchronić od niebezpieczeństwa spolszczenia się. Nieufność ta budzi się dlatego, ponieważ wśród sprowadzonych dotąd robotników dużo znajduje się takich, którzy już zdążyli się spolszczyć, którzy nawet do polskości otwarcie się przyznają i chcą przy niej wytrwać. Pisze o tem ktoś do „Posener Tageblatt" między innemi tak:

„Zapewne, jest to pięknie i szlachetnie, ziomków swoich, którzy w Rosyi skutkiem rozruchów nie są pewni życia, tutaj przyjmować, zaopiekować się nimi i stworzyć dla nich na ich dawnej ziemi rodzinnej warunki lepszej przyszłości. Czy ludzie ci jednakże odpowiedzą pokładanym w nich nadziejom, o tem trzeba wątpić na podstawie obserwacyi i doświadczeń, jakieśmy na tem polu poczynili. Zapewne, pochodzą oni z Niemców; ale dzięki długoletniemu pobytowi w otoczeniu wrogiem niemczyźnie stali się oni dla niej obcymi. Nie tylko mówią oni płynnie po polsku, lecz czują się — nawet Polakami. *„Ja jestem prawdziwym Polakiem z Warszawy, i ja zostanę Polakiem póki życia"!* — powiedział niedawno temu pewien niemiecko-rosyjski robotnik, który znalazł tutaj nie tylko zyskowne zatrudnienie, ale i dom, jakiego zaprawdę w Rosyi nie miał."

Chwała Bogu! — niech ino pastor Rosenberg takich najwięcej nasprowadza, niech im się wystara o prawa krajowe, a będziemy jeszcze z nich mieli pociechę kiedyś. *Redakcya.*

Przegląd polityczny.

Niemcy. Wobec angielskiego wniosku, stawionego do pokojowej konferencyi w Hadze o ograniczenie zbrojeń wojsk zabiera na łamach „Berl. Tageblattu" znany krytyk i znawca stosunków wojskowych pułkownik Gaedke głos i wyświetla na podstawie cyfr, jakie ciężary ciążą na obywatelach Rzeszy niemieckiej przez to, że Rzesza nieustannie powiększa swoją armię i flotę, ażeby utrzymać się na stanowisku militarnej przewagi w Europie.

Zaznacza on, że państwo niemieckie na wniosek Anglii dlatego nie mogło się zgodzić, ponieważ wniosek ten przedewszystkiem rokował korzyści samej tylko Anglii. Badając jednakże ciężary, jakie ponoszą na cele wojskowe obywatele Francyi, Anglii i Niemiec dochodzi do rezultatu, który wskazuje, że stosunkowo Niemcy najbardziej są obciążeni.

Stwierdza on wprawdzie, że w Niemczech na głowę przypada obecnie ciężaru wojskowego tylko 19,6 mk., w Francyi 25,4 mk., w Anglii nawet 28,6 mk., ale też za to dochód obywatela francuskiego jest o połowę przeciętnie większy od dochodu obywatela Rzeszy, a dochód Anglika jeszcze większy od dochodu Francuza.

Rzesza niemiecka wydaje obecnie rocznie na wojsko lądowe 930 i pół miliona, na marynarkę 288 milionów, razem więc 1218 i pół miliona mk. W sumie tej olbrzymiej nie znajdują się koszta wyprawy afrykańskiej, ani koszta procentów od długów zaciągniętych przez Rzeszę na cele wojskowe. Doliczywszy i te wydatki wynoszą koszta wojska niemieckiego rocznie około 1500 milionów marek w sumie okrągłej.

Gaedke dochodzi w końcu swojego artykułu do wniosku, że stosunkowo obywatele niemieccy najwięcej są obciężeni ciężarami wojskowemi, najwięcej z obywateli wszystkich innych mocarstw, i że Niemcy znajdują się pod tym względem na granicy, której lekkiem sercem przekroczyć nie podobna.

Przykro pomyśleć, że polityka Koła polskiego — pamiętna z ugody — przyłożyła rękę do uchwalenia tych ciężarów, które rosną obecnie w nieskończoność. Tem przykrzej pomyśleć, że w taki sposób rząd za ustępstwa polskie odpłaca się nam teraz. W każdym razie należy nam śledzić bacznie budzące się w kołach niemieckich objawy niezadowolenia z militarnej polityki rządu.

Francya. Telegramy rozniosły po świecie wiadomość o zajściu, które dowodzi wielkiej swobody obcowania ministrów francuskich z dziennikarzami. Pewnego dnia było zapowiedziane zebranie ministrów. Na miejsce obrad udali się dziennikarze paryscy, by z pierwszej ręki zebrać wiadomości o uchwałach rządowych. Zebranie ministrów zajęło jednakże tyle czasu, że trzeba je było przerwać. Dziennikarze z powodu tego byli niekontenci. Zawołał ich tedy przez okno sali narad *Clemenceau,* udzielił pożądanych wiadomości, a po wesołej pogadance pozwolił na zdjęcie fotograficzne.

Wiadomości Clemenceau dotyczyły stosunków w Marokku i brzmiały ogólnikowo i zadowalniająco. Rząd francuski podejmuje wszelkie możliwe kroki, ażeby Marokko uspokoić.

Istotnie potrzeba uspokojenia jest wprost nagląca. Przeciwko sułtanowi dotychczasowemu Abdul Azisowi powstał brat jego Mulaj Hafid. Obydwaj gotują się do bratobójczej walki o tron. Tymczasem walka około portu Casablanca nie ustaje. W końcu ubiegłego tygodnia stoczyło nawet wojsko francuskie ważniejszą potyczkę z powstańcami, których liczba wynosiła według jednych źródeł 14 tysięcy, według innych 5—6000. Na dobitkę złego Rajzuli stara się o zwolenników i zagraża Francyi od strony Tangeru. Zdaje się więc, że tak szybko do uspokojenia Marokka nie przyjdzie.

Rosya. Pomiędzy Rosyą a Anglią podpisany został układ dotyczący stosunków wzajemnych w Azyi. Układ na razie nie został ogłoszony. Rozesłano go jednakże wszystkim państwom, ażeby przekonać je o tem, że układ nie zwraca się przeciwko żadnemu z nich.

Jednym z punktów ma być sprawa *neutralności Norwegii.* Znaczyłoby to, że układ jednakże sięga poza granice stosunków azyatyckich.

Z Odesy nadchodzą wieści, że związek prawdziwych Rosyan urządził tam pogrom żydowski. Partya kadetów zabiera się do organizacyi mających nastąpić w końcu września wyborów posłów do III Dumy.

Anglia. W Irlandyi wybuchły groźne rozruchy, spowodowane ciągłem odwlekaniem parlamentu angielskiego przyznania Irlandyi samodzielności. Irlandczycy napadają posiedzicieli wielkich włości, Anglików. Wiadomo, że ziemia Irlandyi jest własnością niewielkiego grona posiedzicieli latyfundyów, lordów angielskich. Z powodu tego Irlandczycy żyją wprost

w nędzy i wynoszą się do Ameryki. Pragną oni dla naprawy nieznośnych stosunków autonomii. W tych dniach zbiera się partya Sinn-fein*) celem zorganizowania samorządu irlandzkiego wbrew woli rządu angielskiego. Partya powiada, że trzeba się samym sobie zorganizować, skoro Anglia po dobrej woli na samorząd przystać nie chce.

Dania. Wielkie słowo wypowiedział w tych dniach następca tronu duńskiego w czasie otwarcia międzynarodowego kongresu statystycznego. Wyraził on nadzieję, że powinna na świecie zapanować *większa sprawiedliwość społeczna.* Istotnie wielkie słowo, jeżeli się rozważy fakt, jak kolosalny jest przedział między biedą a bogactwem, istniejącem na świecie w najbliższem sąsiedztwie, i to, że większego wyrównania tego przedziału domaga się książę, należący do najwyższych i najbogatszych sfer społecznych na świecie, a więc człowiek, który sam biedy nigdy nie zaznał, a zdaje się odczuwać, jak bardzo ona boli.

Życzymy następcy tronu duńskiego, ażeby pragnienie to swoje wniósł także ze sobą na tron.

W sprawie organizacyi ogrodników
i wydawania gazety ogrodniczej

otrzymujemy następującą odezwę, którą pomieszczamy ze względu na istotnie poważny cel społeczny.

„Ledwie wyszła odezwa p. Śmigaja, aby utworzyć organizacyę ogrodniczą i wydawać gazetę, a już słychać:

„Z tego nic nie będzie, to nie na czasie, warunki takie krytyczne, człowiek gnany całodzienną pracą kontent, gdy do domu przyjdzie, że odpocznie, wreszcie do gazety kto będzie pisywał? i t. d. i t. d.“

„Dla czego nie mogłaby powstać organizacya polskich ogrodników oraz gazeta fachowa, tak niezbędnie potrzebne w Księstwie? — W naszem apatycznem, hamletowo nastrojonem społeczeństwie, trudno co prawda wprowadzić w czyn każdy nowy projekt.

„Otrząśnijmy się już raz z apatyi, załóżmy taką organizacyę z wydawnictwem gazety, a szary świt nad naszem ogrodnictwem ustąpi miejsca dniowi promiennemu.

„Cofnijmy się wstecz jakie lat 26, kiedy to w Warszawie zaczęło wychodzić pismo ogrodnicze „Ogrodnik Polski.“ Wiadomo, że przed wspomnianym okresem nie było w Polsce ani szkół ogrodniczych, ani czasopism, ani towarzystw, nie urządzano zgoła prawie wystaw, nie miano prawie podręczników do nauki ogrodnictwa i t. p., słowem było inaczej. Okres ten dał nam to wszystko. Wezwani do apelu wszyscy ogrodnicy, podali sobie dłoń i sprawili z wysiłkiem to, iż ogrodnictwo polskie zrobiło duży krok naprzód i otworzyło swym adeptom szerokie pole do postępu.

„Pismo to zgrupowało też około siebie wszystkich ogrodników, którzy pojmowali swój zawód, nietylko jako źródło materyalnej korzyści ale i jako pracę społeczną. To też miał „Ogrodnik Polski'', że się tak wyrażę, swą barwę. Czuć w nim było przywiązanie do pięknego zawodu, jakim niezaprzeczenie jest ogrodnictwo, widać było ruch, działalność, postęp i życie.

„Pomimo, że wiedza ogrodnicza, równolegle z wzrostem i rozwojem nauk przyrodniczych, kroczy stale po drodze postępu, pozostawiając za sobą dawne, przestarzałe, na rutynie oparte zwyczaje; pomimo, że coraz bardziej wzrasta ilość miłośników i zwolenników ogrodnictwa w wszelkich jego formach, jako poważnego czynnika hygieny i dobrobytu społecznego, że mnożą się fachowe pisma ogrodnicze zagranicą, pomimo to nie można powiedzieć, ażeby czytelnictwo ogrodnicze u nas w Księstwie po wsiach przenikało do szerszych warstw społeczeństwa.

„Zagranicą dzieje się inaczej. W Anglii n. p. lub w Niemczech, wiedza ogrodnicza nie jest udziałem jedynie specyalistów - ogrodników; wciska się ona pod strzechę prostego kmiotka, zaznajamia go z głównemi zdobyczami przyrodoznawstwa i urabia nowe pojęcia o hodowli roślin ogrodowych i polnych, skutkiem czego rosną, jak grzyby po deszczu, ogródki i sady, stale i prawidłowo rozwija się przemysł ogrodniczy, włościanin zdobywa nowy rentowny przedmiot zbytu, zyskuje dobrobyt i zadowolenie wewnętrzne. — Nie ma tam prawie domu, gdzieby nie czytano pisma ogrodniczego, nie ma strzechy, którejby nie ocieniały kwiaty, drzewa; ogrodnictwo i czytelnictwo wogóle stało się nieodzowną potrzebą społeczną na zrozumieniu własnych interesów opartą. U nas natomiast, prócz nielicznej garstki zawodowców czytających pisma ogrodnicze, nawet właściciele ogrodów po wsiach i osadach nie interesują się czytelnictwem, z nieufnością patrzą na nowe zasady i z uporem trzymają się tylko dróg utartych. Dlatego uważam za dobre i celowe, aby posiadacze większych i na wyższej stopie kultury postawionych ogrodów i sadów, oraz ogrodnicy-specyaliści, — słowem ci, dla których czytanie pism ogrodniczych jest potrzebą i obowiązkiem, a rozwój ogrodnictwa krajowego przedmiotem bliższego zainteresowania, zechcieli wziąć do serca sprawę rozpowszechniania i popularyzowania wiedzy ogrodniczej w masach i zachęcali swoich ogrodników, chłopców ogrodniczych, wreszcie nawet i włościan do czytania pism ogrodniczych. Czytanie takie nie jest trudne, nie zajmie dużo czasu, a pożytek przyniesie niewątpliwy.

„W długie zimowe wieczory, w każdą niedzielę i święto czas do czytania zawsze się znajdzie; trzeba jednak, ażeby właściciele ogrodów i ogrodnicy, zasobni w wiedzę i doświadczenia praktyczne a mający u siebie pisma ogrodnicze, objaśniali czytającym, trudniejsze ustępy, w razie potrzeby tłomaczyli je na przykładach, metodą poglądową, która jedynie potrafi przemówić do przekonania mniej oświeconych, zachwiać nieufność i wzbudzić zamiłowanie. Trochę cierpliwości i szczypta dobrej woli wiele tu zdziałać może, — a demokratyzacya wiedzy ogrodniczej u nas wzorem zagranicy, szybko posunie się naprzów. Pisma ogrodnicze zyskają więcej czytelników, będą więc mogły rozwijać, rozszerzać i doskonalić swój program; zaś chaty naszych włościan tonąć będą w cieniu drzew owocowych z biegiem czasu chlubić się grzędami kwiatów i zagonami warzywa.

„Więcej czytania, więcej zachęty do książki i dobrego przykładu, a wiedza ogrodnicza, dziś jeszcze dla wielu terra incognita, stanie się udziałem szerokich mas naszego społeczeństwa.

„Założenie organizacyi ogrodników i pożytecznego wydawnictwa fachowego jest koniecznem dla nas, mam nadzieję, że wszyscy ogrodnicy-koledzy zżyją się z tym nowo-projektowanym organem, który wzbudzi zamiłowanie do ogrodnictwa, wskaże drogi, rozjaśni tysiące kwestyi, udowodni materyalne korzyści z sadów owocowych. Dziedzina ogrodnictwa ma przed sobą tysiące kwestyi dotąd niezbadanych i nie rozwiązanych. Z zmianą form, warunków, potrzeb życia społecznego zmienić się muszą i zadania, stawiane ogrodnictwu. Coraz nowe upodobania estetyczne i gastro-

*) *Sinn-fein* jest słowem staroGalickiem i oznacza dosłownie *my-sobie.*

nomiczne nowe poglądy na dyetetykę (jarstwo), nowe żądania zysków zbytu, nawet pewne zmiany klimatu, powstanie coraz nowych chorób roślinnych (leczenie ich), coraz nowych odmian kwiatów, warzywa i owoców, — wszystko to są kwestye, nad któremi praca i badania wystarczą na długie lata i końca tej pracy nie widać. I nie ujrzymy go nigdy dopóki egzystować będzie przyroda i umysł ludzki.

„Kto będzie zapełniał szpalty projektowanej gazety ogrodniczej?

„Ażeby była potrzebną i użyteczną a nadto żeby się znalazła w każdym domu, przy którym jest kwietnik, warzywnik i ogród owocowy, nikt inny tylko czytelnicy, prenumeratorzy.

„W miesięcznikach, poświęconych n. p. astronomii lub czystej matematyce, współpracownikami muszą być tylko ludzie, którzy odbyli specyalne studya w tych gałęziach wiedzy. — W pracy ogrodniczej trochę inaczej. Nie przeczę, że znajomość chemii organicznej i nieorganicznej, anatomii, fizyologii, patologii i terapii roślinnej stanowi silne uzbrojenie dla przystępującego do pracy ogrodniczej, ale pole walki, warunki klimatu i roli, ilość i jakość nieprzyjaciół, czy to są ludzie, zwierzęta, ptaki lub owady, każdy sam osobiście musi studyować i obserwować. Pomoc w tej pracy każdy znajdzie w literaturze ogrodniczej. Dlatego każdy, kto pragnie, może 1-o czerpać z popularnych dzieł i pism ogrodniczych opisy doświadczeń i obserwacyi całego świata ogrodniczego, 2-o badać, kontrolować i obserwować osobiście każdą swoją czynność, doszukując się przyczyn powodzenia lub strat i zawodów, poniesionych na tem polu i 3-o dzielić się z ogółem przez pisma ogrodnicze zdobytemi doświadczeniami, podjętemi próbami, popełnionemi omyłkami, przyznając się otwarcie do nich, a w kwestyach dla siebie niejasnych, nie dających się wytłomaczyć, prosić o radę i wskazówki tych, którzy łącząc w sobie praktykę długoletnią, wiedzę teoretyczną, mogą dać skuteczną radę i żądane objaśnienia. — Gdy więc każdy z kolegów ogrodników zechce trzymać się tego programu, redakcya będzie miała tak bogaty, zajmujący i pożyteczny materyał a przyszła nowa gazeta stanie się poważnym materyałem biblioteki ogrodniczej.

„Nie tylko więc sadźmy, nie tylko szczepmy, ale i czytajmy i piszmy. Sądzę, że czytelnikom i prenumeratorom przyszłej nowej gazety naszej nie będzie chodziło o styl kwiecisty i wyszukany, nie o wykończone i obszerne artykuły, ale o notatki zwięzłe, treściwe, dające wierny obraz prac podjętych i dokonanych. Umysł, zmęczony całodzienną pracą, ręka przeważnie pracująca motyką, nożem, piłką, nie mogą służyć do tworzenia artykułów literacko obrobionych. Im więcej projektowana gazeta ogrodnicza stanie się poczytniejszą między kolegami - ogrodnikami, im bardziej oni interesować się nią będą i z nią bliżej się zespolą, — tem łatwiej i szybciej się udoskonali i stanie na wysokości zadania. Temi słowy, wypowiedzianemi z przekonania, chciałbym zachęcić do zgromadzenia się licznego wszystkich nas ogrodników na oznaczony czas (15 września) w Poznaniu. Pracujmy wspólnie, nie zrażajmy się napotykanemi trudnościami, przeszkodami i chwilowem niepowodzeniem, ofiarujmy chętnie swoją pracę, na jaką kogo stać, a spełnimy naszą powinność. Dużo jeszcze jest do zrobienia, pole obszerne więc i praca nie mała. Niech wytrwały i systematyczny postęp sąsiadów z zachodu będzie dla nas przykładem a praca stanie się prawem. Wspomagając się wzajemnie, utrwalimy nasze dążności, a na dobre rezultaty długo czekać nie będziemy. — Do widzenia.“

Niechanowo, dnia 25 sierpnia 1907.

Jan Wachowski, ogrodnik.

N. B. Redakcye innych pism uprzejmie uprasza się o powtórzenie niniejszego.

Listy od Przyjaciół.

W sprawie *„podręcznika do domowej nauki języka polskiego“* odbieramy od naszego korespondenta lwowskiego następujące uwagi:

Lwów, we wrześniu 1907.

Pozwólcie, że dorzucę parę uwag w dyskusyi toczącej się w sprawie wzorowego elementarza, wzorowego podręcznika dla dziatwy polskiej.

Uważam sobie za obowiązek nasamprzód podkreślić szczęśliwą, nader szczęśliwą myśl, jaką powzięła Redakcya „Pracy,“ podejmując tę dyskusyę, oświetlając znaczenie szkoły ludowej, zwracając uwagę całego społeczeństwa na tę dziedzinę podstawową.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“ — powiedział jeden z najgłębszych poetów polskich, Zygmunt Krasiński. A nasze przysłowie znakomicie innemi słowy to uwydatnia: „Czego się *Jaś* nie nauczył, tego się *Jan* nie nauczy!“

W młodości dziecku każdemu dajemy wskazania, które mu na życie całe zostaną. Odbijać się w niem zawsze będą wiecznie powtarzającem się echem. Matki dziecięciu wkładają w umysł prawdy religijne; one też u człowieka zostają na zawsze; a chociaż nieraz burze wewnętrzne u niejednego zachwieją wiarę, korzenie jej zawsze zostaną i, jeśli wiara głęboko w duszę wniknęła, ona po latach wróci z pewnością. Wiemy z własnego doświadczenia, że umysł młodzieńczy jest najwrażliwszy i najpodatniejszy, że pamięć u dzieci jest najtrwalsza. Przecie w późniejszem życiu przekonywamy się, że najgłębiej w nas tkwią wrażenia i wspomnienia młodości. Umysł dziecka łaknie nowości, żądny wiedzy, ciekawy wszystkiego. Zdawaliście sobie kiedy sprawę, dlaczego np. dziecko psuje zabawkę? Ono chce poznać ją dokładnie, na czem się zasadza machinacya zabawki i doświadczenie te czyniąc, psuje zabawkę; dajmy dziecku bańkę szklaną: weźmie ją, oglądnie, pobawi się świecidełkiem, spostrzeże, że kulista, zaintrygowane tem, co we wnętrzu się znajduje, stłucze ją. To są fakty, dowiedzione nauką.

Przejdziemy z dziecięciem łąką, lasem, miastem; ile ono rzuci nam pytań i każda rzecz, mu nieznana zaciekawia je; dziecię się pyta o wytłomaczenie i nie zadowoli się byle jakiem wyjaśnieniem.

Silniej to objawia się w wieku szkolnym. Nie znam niestety elementarza Konrada Promyka — Prószyńskiego, ale wiem, że uznany jest za najlepszy elementarz świata.

Mojem zdaniem liter należy uczyć dzieci przy uplastycznianiu przedmiotów. Więc przy obrazie drzewa, nauczy się ono poznawać d i t. p. Wogóle ponieważ dziecko nie stykało się dotąd ze światem duchowym, trzeba przykłady brać ze świata materyalnego, który ono zna dobrze i przezeń dopiero wprowadzać je do przybytku skarbów duchowych.

A gdy dziecię potrafi już składać litery w wyrazy, a wyrazy w zdania, powinno mu się dobierać takie ustępy, których całokształt dałby mu pewne minimum wiadomości, przy których uzupełnianiu mógłby nabrać dostatecznego wykształcenia.

Ułożenie wypisów jest rzeczą niezmiernie trudną. Dziatwy nie można wprowadzać wprost w świat abstrakcyjny; w ustępach nie można wprowadzać wprost pewnych poszczególnych nauk. W formie przystępnej, najczęściej w formie opowiadania, rozmowy i t. d. należałoby przed umysłem dziecka roztoczyć to, co mu naj-

bliższe; książka musi mieć na celu nauczyć przedewszystkiem dziecię *umieć* patrzyć na życie, na otaczającą go przyrodę i ludzi. Począwszy od otaczającej go wszędy i przezeń spotykanej na każdym kroku przyrody, kwiatów, drzew, roślin, kamieni, zwierząt domowych i dzikich, ptactwa — wprowadzać je coraz wyżej w nauki przyrodnicze. Począwszy, od zobrazowania tego życia, które prowadzi on, ojciec, matka, rodzina, wieś wprowadzać je w życie całego narodu polskiego, wprowadzać je w położenie Polaków w chwili obecnej, — a od Polski od nas wprowadzać w życie innych narodów. W ten sposób dziecko zaznajomi się z warunkami życia tego społeczeństwa, z którego wyszło, z przyrodą tej ziemi, na której żyje, z dziejami ojczystemi, z przeszłością naszą i naszą kulturą.

Trudno mówić w przygodnym artykule o wszystkiem, co tam się znaleść powinno; zaznaczyłbym dwie jeno rzeczy ogólnie: 1) podręcznik powinien dziecko wprowadzać od rzeczy najbardziej przezeń znanych i najbardziej mu podpadających pod zmysły; 2) podręcznik powinien być tak ułożony, aby mógł dziecko polskie wychowywać w duchu narodowym.

Parę jeszcze szczegółów.

Powinien być podręcznik ilustrowany, i to ilustrowany bogato. Każde nowe pojęcie, wszystko to znaczniejsze, co dziecku może zwrócić większą uwagę, powinno być uprzystępnione obrazkiem. Łatwiej oddziaływa na pamięć, a jednocześnie już od młodości u dziecka poczyna wyrabiać kulturę estetyczną.

Powinien zawierać podręcznik dużo wierszy. I to wcale nie tandetnych i nie częstochowskich. Te podręczniki dla dziatwy, które znam, wiersze zawierają, ale te wiersze — uchowaj Boże! To nie poezya, ale wierszoróbstwo, do którego każdy, władający po polsku, byłby równie zdolnym. My dla dzieci mamy wiersze Konopnickiej, Bełzy, Ilnickiej, Strokowej i tylu innych wybitnych pisarzy „dziecięcych,“ że z nich można ułożyć bardzo wdzięczny zbiorek dla dzieci od lat najmłodszych. I niech one w dziecięciu uczucie kształcą, niech uczą serduszko małe prawd religijnych, moralnych, niech uczą serduszko kochać swą Ojczyznę.

Na taką rzecz fundusze znaleźć się muszą. Czy to z funduszu na popieranie nauki polskiej (z powodu śmierci ś. p. arcybiskupa ks. Stablewskiego) — czy to z funduszów składkowych specyalnie na to, czy to z funduszów prywatnych.

Ale podręcznik taki, jak wyjdzie, niechajże wychodzi opracowany gruntownie i doskonale; elementarz abecadłowy Promyka uznano za najlepszy elementarz świata; niechajże ten podręcznik będzie tak opracowany, że wśród podręczników narodowych zajmie również miejsce pierwsze.

Pokażmy światu, że sił i głów w naszym narodzie niemało, że kulturę duchową mamy tak wysoką, że niejeden naród serdecznie nam jej zazdrości.

H. W.

Zjazd katolików niemieckich.

W dawnej stolicy biskupów francuskich *Würzburgu*, obradował przez kilka dni zjazd katolików niemieckich i świeżo się właśnie zakończył. Zjazd ten 54-ty z kolei przewyższa swą świetnością wszystkie poprzednie, zgromadził bowiem około 7,000 uczestników, w tej liczbie wszystkich prawie najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiego świata katolickiego.

Od pewnego czasu liberalne pisma niemieckie coraz częściej starają się przekonać swych czytelników, że „niewzruszona baszta katolicyzmu“ poczyna ostatniemi czasy rysować się poważnie. Obecny zjazd zadaje zupełny kłam wszystkim tym wiadomościom, wykazuje on, że dyktowała je tylko nienawiść do katolicyzmu, gorąca chęć ujrzenia go osłabionym, a nie istotne położenie rzeczy.

Stanowisko katolików niemieckich obecnie stało się bardzo trudne. Rząd, pomimo przegranej „walki kulturnej“ i pozornego współpracownictwa z centrum, nie zarzucił jednak nigdy myśli, aby kościół katolicki uzależnić od państwa. Kanclerz Bülow skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazyi, aby brutalnie zerwać z centrum i zdobyć poklask większości protestanckiej. Z drugiej strony w ostatnich czasach wszczął się wśród katolików niemieckich niebezpieczny dla jedności ich szeregów ruch, wymierzony przeciwko *indeksowi*, a godzący pośrednio w stolicę Apostolską.

Wbrew jednak wszelkim oczekiwaniom obie te tak niesłychanie ważne sprawy nie weszły na porządek dzienny obrad. Widocznie uważano je za zbyt drażliwe, aby puszczać na fale masowego zgromadzenia publicznego, wskutek tego jednak zjazd wiele stracił na swej żywości i znaczeniu.

Zjazd został otwarty mową profesora Hannera z Würzburga, który użył całej siły argumentacyi, aby zbijać nowe prądy, jakie zaczynają się odczuwać w społeczeństwie niemieckiem, iż chrześcijaństwo, a germanizm to — dwa wrogie sobie światy.

Wbrew wywodom mówcy trzeba przyznać, iż rzeczywiście w stosunku narodu niemieckiego do innych próżnoby szukać krzty nawet pojęć chrześcijańskich, brutalna siła pięści dawno tam wygnała miłość bliźniego i nowe prądy ujmują tylko w teoryę to, co dawno było w życiu.

Przewodniczącym zjazdu wybrano posła do parlamentu i sejmu adwokata Fehrenbacha, na pierwszego zastępcę — Freiherra von Frankensteina, na drugiego — posła do sejmu Engelena. Posłano telegramy z wyrazami hołdu do papieża i cesarza.

Zajmowano się sprawą 50-letniego jubileuszu pracy duchownej Ojca św., który ma być obchodzony tej jesieni, Postanowiono wziąć w nim liczny udział i zbierać gorliwie z tej racyi świętopietrze. Protestowano przeciw antyklerykalnym manifestacyom we Włoszech, które przeszkadzają ogromnie pielgrzymkom do Rzymu.

Profesor Meyenburg z Lucerny poruszył kwestyę religii i wyznania, przyczem wyrażał gorącą chęć pracowania razem z protestantami przeciwko wspólnemu wrogowi — racyonalizmowi współczesnemu. Oświadczenie to przyjął zjazd długiemi oklaskami.

Wiele czasu poświęcił zjazd działalności misyi katolickich, przyczem zajmowano się nietylko koloniami niemieckiemi, ale wskazywano też na olbrzymie zadanie rozpowszechniania katolicyzmu wśród rasy żółtej.

Zwrócono także uwagę na potrzebę pracy katolickiej na miejscu, na brak posług religijnych, jaki w wielu miejscach daje się odczuwać, na demoralizacyę wielkich miast, na potrzebę wzmocnienia wiary i t. d. W tym celu uznano za pożądane tworzenie misyi wewnętrznych.

Podczas obrad drugiego dnia odczytano odpowiedź, która przyszła z Rzymu od kardynała Merry w imieniu papieża. Znamiennem jest, iż w telegramie położono nacisk, iż papież cieszy się nietylko z dojścia do skutku tak licznego zjazdu mężów katolickich, ale również i „z uczuć oddania się i posłuszeństwa,“ jakimi są oni przeniknięci.

Ciekawe były obrady nad stosunkiem kościoła do szkoły. Profesor Marcin Spahn ubolewał, iż uniwersytety, ten rozsadnik oświeconej opinii publicznej, zwracają się w swych ..

ukach przeciwko kościołowi. Należy przeciwko temu walkę prowadzić, ale nie zwracać się przeciwko samym instytucyom nauczania wyższego. Walka o szkołę wyższą nie jest beznadziejną, gdyż młodzież obecna ma już dosyć materyalizmu i łaknie poglądów idealniejszych. Że wśród młodzieży dużo jest jednostek wybitnie religijnych dowodzą liczne katolickie związki studenckie.

Dyrektor Brück mówił o szkołach ludowych i dowodził konieczności, aby były one ściśle wyznaniowemi. Wskazywał on na smutne wyniki bezwyznaniowej szkoły we Francyi.

Jeszcze bardziej interesujące rozprawy toczyły się nad kwestyą narodową. Mówcy centrowi bronili się gorąco przeciwko wytaczanym katolikom zarzutom, iż nie są oni patryotami niemieckimi. Przewodniczący Fehrenbach dowodził, że katolicyzm nie zaciemnia wcale katolikom niemieckim jasnego rozumienia interesów niemieckich, w obronie których oni zawsze walczyć będą. Inni mówcy, choć zaznaczali pewne „przeciągnięcie struny nacyonalizmu niemieckiego,“ ale z zapałem stwierdzali swój patryotyzm i swą chęć wypełniania wszelkich obowiązków narodowych. Dla Niemca, wołał ks. Wacker, czwarte przykazanie mówi nietylko: „czcij ojca i matkę,“ ale uczy też: „czcij króla twego i miłuj ojczyznę twą!“

Oburzano się na to, iż Niemców katolików, choć spełniają oni gorliwie wszelkie obowiązki narodowe, traktuje się jednak, jako obywateli drugiego stopnia. Katolicy niemieccy z dumą twierdzą, iż są Niemcami, ale chcą mieć takież same prawa, jak i inni.

Jednym z punktów obrad była kwestya socyalna. Podkreślono na zjeździe, iż katolicyzm bynajmniej nie jest przeciwny dążeniu do osiągnięcia dóbr doczesnych. Mówiono o znaczeniu rozwoju przemysłowego Niemiec dla szerokich mas ludowych i z tego punktu widzenia traktowano kwestyę robotniczą, uznając, iż dobrobyt robotniczy jest ściśle zależny od rozkwitu przemysłu danego kraju.

Jako poszczególną kwestyę poruszono położenie domowej służby kobiecej. Podnoszono konieczność zorganizowania tych służących w związki dla obrony ich interesów i podtrzymania ducha religijnego, aby uchronić młode dziewczęta miejskie od strasznego wyzysku i okropnego zdemoralizowania wielkich miast.

Jeden z odczytów był poświęcony literaturze pięknej i sztuce, aby zaznaczyć, iż żadna dziedzina ruchowi katolickiemu nie jest obcą.

Sprawozdanie, które odczytano na zjeździe, oświadcza, iż związki ludowe, stanowiące główną siłę centrum, wzrosły w roku bieżącym o 50 tys. członków. Największy przyrost zaznaczył się w Westfalii i Nadrenii, natomiast zmniejszyła się liczba członków w Brandenburgii, Pomeranii, Hanowerze, Śląsku, Saksonii, Wirtembergii, Alzacyi i Lotaryngii.

Wielkiemi owacyami przyjęto gościa z Włoch, profesora Roselli z Florencyi. Chociaż wiele przyjechało gości z po za granic cesarstwa niemieckiego, ale wszyscy byli Niemcami, Forelli zaś był pierwszym cudzoziemcem. Uznano ten krok za piękną zapowiedź na przyszłość, pozwalającą mieć nadzieję, iż przyjdzie wkrótce czas, gdy można będzie urządzić międzynarodowy kongres katolicki, na wzór wszechświatowych kongresów socyalistycznych.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesłały nam najpóźniej *do środy wieczorem*. W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Zjazd delegatów Tow. Samopomocy Naukowej i towarzystw pokrewnych odbędzie się *w niedzielę, dnia 8 września, o godz. 5 po poł. w Domu katolickim w Gnieźnie.*

Porządek obrad: 1. Zagajenie i sprawdzenie delegatów. 2. Wybór przewodniczącego, zastępcy, sekretarza i dwóch ławników. 3. Odczyt p. Musielaka: „O samopomocy naukowej.“ 4. Referat p. Pluty: „W sprawie organizacyi.“ 5. Dyskusya, uchwały i wnioski.

Szanowne Towarzystwa Samopomocy Naukowej i inne, mające ten sam cel, prosimy o przysłanie delegatów na ten pierwszy zjazd, celem bliższego zapoznania się i pouczenia.

Komisya zjazdu
Dr. Szafarkiewicz, Gniezno. *Antoni Pluta*, Inowrocław.

* * *

Okręg śremsko-kościański, do którego należą miasta Kościan, Śrem, Śmigiel, Czempiń, Dolsk i Krzywin, urządza w *niedzielę 8 bm.* na sali p. Sałacińskiej w *Śremie zjazd towarzystw przemysłowych.*

Porządek obrad:

1. Zagajenie. 2. Wybór przewodniczącego i ukonstytuowanie biura. 3. Odczyt o wyzyskiwaniu kredytu i książkowość rzemieślnicza, wygłosi pan Miecz. Wyrybkowski z Kościana. 4. Odczyt: Wady mieszczaństwa, wygłosi p. Krajna z Poznania. 5. Kursy zawodowe. 6. Wolne wnioski. 7. Zamknięcie Zjazdu.

O liczny udział prosi

Zarząd
okręgu śremsko-kościańskiego.
Miecz. Wyrybkowski, sekretarz.

* * *

Towarzystwo Ludowe. Szanownym rodakom z parafii *Szczuki* i wsi okolicznych, jako gminy *Zbiczna*, przypominam dane przyrzeczenie na wiecach „Straży“ przystąpienia do *Towarzystwa Ludowego* parafii w Brodnicy. *Zebranie ludowe odbędzie się w Brodnicy w niedzielę 8-go września o 5 po południu w hotelu Rzymskim.*

Serdecznie zapraszamy rodaków i z miasta Brodnicy, którzy jako wiarusy i dobrzy katolicy przykładem gorliwej jedności przyświecać winni powiatowi. Goście mile pożądani.

Bolesław Bardzki,
delegat i starosta powiatowy.

* * *

Wiec „Straży“ w Sianowie na sali p. Skrzypkowskiego odbędzie się w niedzielę, dnia 15-go września r. b. o godzinie 3 i pół po południu.

O liczne przybycie obywateli na wiec prosi

Labudda,
starosta kartuzkiego powiatu.

* * *

Wielki wiec „Straży“ w Berlinie odbędzie się dnia 22 bm. Na wiecu tym rodacy nasi zaprotestują przeciwko podburzającej robocie na wiecu hakatystycznym w Bydgoszczy.

* * *

Zwykłe zebranie Towarzystwa „Sobieski“ w Monasterze odbędzie się dnia 8-go września wieczorem o godzinie 8-mej w lokalu p. Th. Buhsmana. (Restaurant zum Hafen) Klemensstr. 24, na które Szanownych Członków jaknajuprzejmiej zapraszamy; ponieważ ważne sprawy będą poruszane, prosimy członków o jaknajliczniejszy udział. Goście mile widziani.

Zarząd.

Z piśmiennictwa.

Powrót, nowela napisana na tle czasów króla Jana Sobieskiego przez *Corvusa*. Nowelę tę posiadamy w naszej tece redakcyjnej i rozpoczniemy wkrótce jej druk. Dla zaspokojenia ciekawości Czytelników i nadobnych Czytelniczek naszych zdradzamy tutaj to tylko, że pod pseudonimem Corvusa ukrywa się młoda, zdolna Wielkopolanka, i że „Powrót“ jest nowelą zakrojoną na szersze rozmiary. Nowela napisana jest stylem barwnym i żywym, a treścią jej walka Polaków wracających z pod Wiednia z Turkami.

Pośród skał i jarów, napisała z Bardzkich *Anna Karwatowa*. Autor-

..a utwór swój nazywa 5-aktowym dramatem. Rzecz sama wydaje nam się bardziej zbliżona do ujętej w formę dramatu pieśni poetycznej.

Treść dramatu jest następująca: Kasztelan, którego imienia autorka nam nie zdradza, pozostawia po sobie wdowę *Zbigniewę* i córkę-sierotę *Witysławę*. Bratem Zbigniewy jest wojewoda i hetman *Skarbimir*. Witysława jest zaręczona z *Szczebrzycem*. Do zamku Zbigniewy zjeżdża Skarbimir jako opiekun wdowy i swej siostrzenicy. Zbigniewa zdaje opiekę nad swą córką z całą ufnością swemu bratu. Skarbimir jednakże do siostrzenicy swej zapałał żądzą nieposkromioną. Chce ją posiąść. Pomocy w tych zamiarach udziela mu *Tomira*, rówieśniczka Witysławy i rywalka w miłości do Szczebrzyca. — Zbigniewa umiera, Skarbimir obejmuje władzę nad jej zamkiem i chce zmusić Witysławę, by mu oddała swoją rękę. Pachołek przebrany za księdza ma im udzielić ślubu. Szczebrzyc broni Witysławy, podnosi przeciwko Skarbimirowi miecz, zwyciężony jednakże, zostaje wrzucony do lochów więziennych. Witysławie udaje się umknąć i ukryć. Skarbimir knuje spisek przeciwko królowi Bolesławowi Krzywoustemu. W otoczeniu jego rośnie grono osób, mających doń żal za krzywdy im wyrządzone i skorych do zemsty. Zdrada się wydaje. Król karze Skarbimira, a Witysławę łączy z Szczebrzycem.

Temat ten niestety nie został przez autorkę dostatecznie wyzyskany. Charakterystyka osób słaba, nie pokazuje nam w świetle przybliżonem do prawdy owych silnych, jakby z granitu wydrążonych postaci z zarania naszego państwa, nie znających granic ani w złem ani w dobrem.

Jedyną postacią, nie tyle sympatyczną, ile znamionującą pewną siłę, to Tomira mszcząca się za niewierną miłość na Szczebrzycu. Cóż kiedy i ona pod grozą następstw swojej zemsty traci zmysły. Zbigniewa umiera nie wiadomo, czy z starości, czy od czarów. Witysława wiecznie płacze. Za wiele skarg i płaczu, a za mało czynów jest w poemacie samym, z którychby poznać można przodków naszych dzielność.

Niestety, pomimo wielkiej sympatyi dla wszystkich utworów, które są dziełem autorów dzielnicy naszej, trudno nam o powyższym utworze inny wydać sąd. Nie podobna nam zapominać o tem, że zbytnia pobłażliwość krytyki — zabija w autorach zmysł samokrytyki, a w publiczności poczucie wartości odnośnych utworów. Z tego punktu widzenia sąd nasz po prostu inaczej wypaść nie mógł.

Józef Szmyt, znany senior wśród redaktorów polskich dzielnicy naszej wydał: *„Poezye, raczej rymy oko- i nieokolicznościowe“*. Książkę tę omówimy przy najbliższej sposobności.

Wiadomości.

* **Pierwszy wiec „Straży“** w powiecie szamotulskim odbył się w ubiegłą niedzielę w Dusznikach, wsi gospodarskiej, liczącej około 1500 dusz. Na sali pani Majowej zgromadziło się przeszło 200 wiecowników. Przewodniczył gospodarz p. Walenty Szymański. Przemawiali: starosta „Straży“ p. Cynka z Szamotuł i p. Bernard Milski z Poznania. Na członków „Straży“ zapisało się 60 obywateli. Przebieg wieca był poważnym. Wiec dozorowali: komisarz kryminalny p. Boehmer z Poznania i zastępca miejscowego komisarza obwodowego, a przed salą stróżowało pięciu żandarmów (!).

* **Na wiecu „Straży“** *w Grudziądzu*, odbytym w ubiegłą niedzielę postanowiono nie uchwalać rezolucyi przeciwko projektowanej ustawie o wywłaszczeniu, ponieważ „zjazdu hakatystów w Bydgoszczy żaden rozsądny człowiek nie może brać poważnie“.

* **Procesy prasowe.** Przed poznańską drugą izbą karną stawali w piątek 30 z. m. redaktorzy „Postępu“ p. Stanisław Kunz i „Przyjaciela Ludu“ p. Konstanty Kopicki, jako oskarżeni na podstawie znanego paragrafu 110. Przestępstwa paragrafu tego dopatrzyła się prokuratorya w ogłoszeniu odezwy komitetu wyborczego na powiat szubiński, za którą skazano, jak wiadomo, już poprzednio kilku innych redaktorów na kary pieniężne. Sąd skazał p. Kunza na 80 mk. kary i koszta, a p. Kopickiego na 120 mk. kary i koszta.

Redaktora „Gaz. Grudz.“, p. Kowalskiego, skazała izba karna w Grudziądzu na 150 mk. lub 30 dni więzienia za rzekomą obrazę sołtysa Milewskiego w Łązku, w pow. świeckim. P. M. czuł się obrażonym korespondencyą, w której donoszono, że usunął figurę Matki Boskiej z izby, w której odbyło się zebranie w sprawie przedzierżawienia polowania gminnego i że uczynił to ze względu na wójta, który jest protestantem.

* **Podziękowanie.** Dochód ogólny z zabawy Towarzystwa dziennikarzy i literatów polskich wynosił 956,14 mk. Ze składek wpłynęło 243 mk. Razem było dochodu 1199,14 mk. Rozchód wynosił 444,34 mk., pozostało więc na czysto 754,80 mk., które złożono na fundusz żelazny Towarzystwa w banku pp. Kratochwilla i Pernaczyńskiego w Poznaniu.

Obywatelstwu z miasta i prowincyi, które bądź to datkami na grę fantową bądź gotówką przyczyniło się do powodzenia zabawy, a tem samem do powiększenia funduszu emerytalnego Towarzystwa, a przedewszystkiem paniom, które podjęły się trudów około urządzenia zabawy, dziękujemy niniejszem staropolskiem Bóg zapłać!

Zarząd i komisya zabawowa.

* **O utrudnianiu dzieciom pierwszej spowiedzi** przez szkołę donoszą „Dz. Pozn.“: Dzieci, uczęszczające do szkoły w Bronisławiu, w powiecie strzelińskim, miały w lipcu b. r. przystąpić do pierwszej spowiedzi i w tym celu prosiły nauczyciela o zwolnienie ze szkoły. Nauczyciel odmówił, a gdy dzieci pomimo to w oznaczony przez proboszcza dzień poszły do spowiedzi, rodzice ich za każde dziecko musieli zapłacić 1 mk. kary szkólnej! Niemczyzna to — wolność!

* **Skutki dzisiejszego systemu szkolnego.** „Gazeta Polska“ pisze: W sobotę 24 z. m. przed sądem ławniczym w Grodzisku stawało jako świadkowie kilku chłopców szkolnych, Polaków z Grodziska, w wieku 12 i 13 lat. Na zapytanie sędziego w niemieckim języku, czy znają 8 przykazanie, nie umiał żaden z nich odpowiedzieć po niemiecku. W innej sprawie stawał jako świadek 10 letni chłopczyk Niemiec ewangelik, lecz ten znał 8 przykazanie. Innego chłopca, Polaka, zapytał sędzia, jakiej jest religii, na to chłopiec odpowiedział, że „deutsch“.

* **Nieznajomość języka polskiego** przyczyną awansu. Przed kilku laty powołano do szkoły katolickiej małego miasteczka w Poznańskiem nauczycielkę z Warmii. Ponieważ miała wątpliwość, czy zdoła sprostać obowiązkom swoim — nie umiejąc ani słówka po polsku — przy szkole odwiedzanej przez same polskie dzieci, udała się ta pani osobiście do rejencyi, lecz otrzymała od decernenta taką odpowiedź: „Dass Sie kein polnisches Wort verstehen, ist gerade ein Vorzug und desshalb schicken wir Sie gerade nach N.“ („Że Pani ani słowa po polsku nie rozumie to jest właśnie zaletą i dlatego właśnie posyłamy Panią do N.“)

A więc brak znajomości języka polskiego staje się powodem awansu. Piękne zaiste stosunki!

* **Zaciekłość hakatystyczna.** Wrocławska „Schlesische Volks-Ztg.“ donosi, że w tych dniach w pewnej restauracyi hakatyści obili kijami dwóch robotników polskich za to, że ci rozmawiali po polsku. — Temuż samemu pismu donoszą, że pewien podróżujący niemiecki wyrażał się, iż Polaków zamieszkałych w Prusach trzeba utopić w morzu bałtyckiem. O tej zaciekłości hakatystycznej donosi organ wrocławski z oburzeniem.

* **Około 9 milionów marek** będą kosztowały manewry pod Poznaniem, które się odbędą w końcu b. m. pod Poznaniem z udziałem cesarza Wilhelma. Cesarz zabawi tu tylko dwa dni. Przybędzie w piątek 20 września przed południem i zaraz uda się do wojsk w okolicy Poznania, tak że miasta wcale prawdopodobnie nie odwiedzi.

W sobotę 21 września po skończonych ćwiczeniach cesarz uda się do Królewca na poświęcenie tumu. Przygotowania do ćwiczeń odbywają się w największej tajemnicy, tak że wszystko, co o nich głoszą, polega jedynie na domysłach. Faktem ma być tylko, że ćwiczenia odbędą się na podstawie doświadczeń poczynionych w wojnie japońsko-rosyjskiej.

Magistrat ogłasza w niemieckich gazetach, że poszukuje mieszkań dla oficerów, ponieważ w owym czasie zajęte będą mieszkania hotelowe. Spodziewają się ogromnego napływu obcych z powodu ćwiczeń wojskowych i wystawy ogrodniczej.

Obawiać się trzeba jeszcze większej drożyzny, jakkolwiek już dziś jest niesłychana.

* **Ze smutnej doli** *naszych rodaków na obczyźnie. „Berliner Tageblatt"* zamieszcza w nr. 445 (wydanie wieczorne) następującą korespondencyą:

„Halla n. S., 1 września.

Powtórnie opuścili wiejscy robotnicy i robotnice służbę u właściciela dóbr Huyke'go w Bruckdorfie pod Zelle i żalili się bardzo na chlebodawcę. Także przed 8 dniami stawali *polski robotnik Jańczak, jego żona, drugi polski robotnik i dwie polskie młode robotnice przed sądem ławniczym — oskarżeni o złamanie kontraktu.* Każda z tych pięciu osób otrzymała od wójta mandaty karne na 15 marek, ponieważ miały opuścić na początku lipca *bezprawnie służbę* u Huyke'go. Tymczasem osoby te przyjąwszy w Turyngii inną służbę, wniosły w powyższej sprawie o sądowe rozstrzygnięcie i przybyły dlatego extra do Halli. Twierdziły, że opuściły *służbę prawnie. Mieszkanie i sypialnia, w której w dwóch łóżkach spali małżonkowie Jańczakowie i dwie młode dziewczyny, było nadzwyczaj ciasne; oprócz tego spadł kawał sufitu tak, że zagrażało niebezpieczeństwo zdrowiu i życiu. Okno związane było sznurkiem. Sypialnia pod dachem, w której przebywał drugi robotnik, urągała wszelkiemu opisowi.* Ponieważ zapozwany jako świadek właściciel dóbr twierdził, że u niego „jest wszystko w porządku", uchwalił sąd pod przewodnictwem sędziego okręgowego Fellmanna *zbadać na miejscu mieszkania.* To się też stało, a sprawa wówczas odroczona toczyła się wczoraj dalej: podczas rozpraw odczytano protokół, który sędzia okręgowy Fellmann spisał o mieszkaniach.

Protokół opiewa między innemi: *Przestrzeń, w której małżonkowie i dwie młode dziewczyny spały w dwóch łóżkach, była bardzo ciasna. Połowa okna była wyjęta, szyby wybite, a otwory zakryte kawałkami papy. W izbie, która miała tylko jedno okno, było złe powietrze. Z sufitu pospadały kawały wapna. Pod dachem, gdzie spał drugi robotnik, były otwory tak wielkie jak pięść; nie było tam drzwi, więc groziło niebezpieczeństwo w razie ognia. Przestrzeń była bardzo brudna, całkiem* [illegible] *tam robotnik narażony był na wiatr i niepogodę.*

Następnie oświadczył przewodniczący, że podług przepisów prawnych z dnia 11-go maja 1850 r. *ze względów obyczajności muszą być osobne sypialnie dla małżonków, mężczyzn, kobiet i młodzieży. Niestety wójt w tej sprawie nie wydał żadnych rozporządzeń.*

Poczem zawołano właściciela dóbr Huyke'go do sali sądowej a sędzia okręgowy oświadczył mu, *że wszyscy oskarżeni są uwolnieni na mocy zbadania sądowego na miejscu mieszkań, Huyke zaś ponieść musi wszelkie koszta, także niezbędne wydatki oskarżonych. Nie oskarżeni* — tak brzmiało uzasadnienie wyroku — *lecz właściciel dóbr popełnił czyn karygodny, ponieważ przeznaczył robotnikom i robotnicom sypialnie wbrew przepisom policyjnym i zdrowotnym. Spanie pod dachem było prawnie pod każdym względem niedozwolone, a nieobyczajną jest sypialnia wspólna w jednej izbie małżonków i młodych dziewcząt.*

Także przyczynek do historyi „przekleństwa wsi" i „nędzy robotnika"".

Tyle niemiecki korespondent. Fakt powyższy wybornie illustruje „niemieckich Gutsbezicerów i ich „deutsche Wirtschaft!"

* **Wystawa** prac czeladzi i terminatorów odbędzie się w *Śremie* na sali hotelu „Victoria". Otwarcie nastąpi w niedzielę dnia 8-go września po sumie. Zamknięcie, połączone z rozdawaniem nagród i listów pochwalnych we wtorek 19-go września o godzinie 8-ej wieczorem.

Zarząd wystawy.

* **Śmigiel**, d. 31. 8. 07. W piśmie swem (nr. 35) umieściła Szan. Redakcya pod rubryką wiadomości doniesienie ze Śmigla, które zasługuje na sprostowanie.

Nie prawdą jest, co pisze przygodny korespondent, jakoby młodzież śmigielska nie popierała „Sokoła"; natomiast prawdą jest, że starsza generacya t. j. obywatele tutejsi najobojętniej zachowują się wobec idei sokolej i wprost stronią od gniazda naszego. Większą część winy, że Tow. gimn. „Sokół" w Śmiglu prawie już istnieć przestało, przypisać należy prezesowi, który w dziwnie obojętny sposób zaniedbuje sprawę.

Młodzież śmigielska była i jest patryotyczną i najprzychylniej dla idei sokolskiej usposobioną.

Czytelnik „Pracy".

* **Kartuzy** (Prusy Zachodnie) 3 września 1907. W tutejszym powiecie posiada gbur nad szosą około 200 metrów od dworca 22 mórg dobrej, i jak znawcy ceglarni uznali, pierwszej jakości gliny, nadającej się do założenia parowej cegielni, bądź to na własną rękę, lub też na spółkę.

Oprócz tejże gliny można jeszcze około 40 mórg gliny tej samej jakości od sąsiadów dokupić.

Bliższych szczegółów udzieli chętnie i bezinteresownie za nadesłaniem znaczka pocztowego p. Labodda, starosta tutejszego powiatu.

* **Pan dr. Bolewski** wrócił z podróży i przyjmuje w zwykłych godzinach.

* **Pani Helena Rzepecka** może jeszcze *przyjąć do swego pensyonatu kilka panienek*, o czem donosi w ogłoszeniu, na które zwracamy baczną uwagę rodzicom i opiekunom. Kto nie chce córek lub pupilek posłać do zakordonowych zakładów, niechby dokształcić je kazał przynajmniej w Poznaniu, gdzie mają więcej sposobności poznania przyszłych obowiązków swoich.

* **Na sejmik Spółek Zarobkowych**, który się odbędzie dnia 10, 11 i 12 b. m. w Poznaniu, poleca się Szanownym Delegatom następujące a) hotele: „Bazar" Wilhelmowska 10, „Hotel Francuski, Wilhelmowska 13, „Hotel Poznański" św. Marcin 30, „Hotel Wiktoryi" Berlińska 17; b) pensyonaty: p. Maryi Szulczewskiej Berlińska 15, p. Celiny Kierskiej pl. Piotra 3, p. Zofii Koczorowskiej Wiktoryi 17, p. Antoniny Radkiewiczowej Teatralna 3, p. Zofii Taczanowskiej Teatralna 7, p. Bronisławy Maryańskiej Wiedeńska 4.

Nekrologia.

† *Ś. p. Teodor Luziński* w nocy d. 31-go sierpnia zakończył żywot doczesny w Poznaniu po długich cierpieniach w 64 r. żywota. Zmarły był właścicielem hotelu francuskiego, znanym powszechnie i szanowanym ogólnie. Miłe jego usposobienie zjednało mu wielu przyjaciół. Niechaj spoczywa w spokoju wiecznym!

Od Redakcyi.

— *Panu Walentemu M. w W. pod Miłosławiem.* — „Księgarnia Katoli- — Posen, Alter Markt 53/54.

— *Pani Zofii D w Poznaniu.* — Notatkę otrzymaliśmy za *późno* (w sobotę, 31 z. m. przed południem) więc zamieścić nie mogliśmy.

— *Pani S. K. w Berlinie.* — Poleciliśmy wysłać księgarni A. Cybulskiego.

— *Panom: Jankowi z pod Góry Przemysława, J. S. w Pożarowie i J. R. w Alstaden.* — Najserdeczniej dziękujemy za nadesłane powinszowania.

CONAN DOYLE.

Zemsta męża.

O stosunku Douglasa Stone'a ze znaną powszechnie lady Sannox wiedziano bardzo dobrze w towarzyskich sferach, gdzie ona błyszczała, jak i w kołach naukowych, które jego zaliczały do jednego z najznakomitszych swych kolegów. Stąd też naturalnie powstało ogólne zainteresowanie, kiedy pewnego poranku rozeszła się wieść, że lady nieodwołalnie i na zawsze skryła się pod kwef zakonny i że świat nie będzie jej już więcej oglądał. Gdy zaś do tej wiadomości przyłączyła się i ta, że sławnego operatora i chirurga, człowieka o nerwach ze stali znalazł lokaj siedzącego na skraju łóżka z obydwiema nogami, tkwiącemi w jednej nogawicy spodni i uśmiechającego się przyjemnie do świata, że jego genialna głowa warta jest tyle, co garnek zupy, to wystarczało, aby wstrząsnąć do żywego ludźmi, którzy nie spodziewali się, aby ich wyczerpane nerwy zdolne były odczuć taką sensacyę.

Douglas Stone był w wieku dojrzałym jednym z najznaczniejszych ludzi w Anglii. Zresztą trudno było powiedzieć, że on wogóle kiedy osiągnął pełnię życia, bo liczył zaledwo 33 lata, kiedy zaszedł ten wypadek. Ci, którzy go najlepiej znali, pewni byli, że o ile był sławnym jako chirurg, to równie dobrze, a może nawet prędzej mógłby się stać wybitną powagą w jakimkolwiek innym zawodzie. Mógł wywalczyć sobie sławę, jako żołnierz, zapracować na nią, jako badacz, pozyskać ją na dworze, lub zasłużyć na nią, jako inżynier stawianiem budowli z żelaza i kamienia. Urodzony był na wielkiego człowieka, bo podejmował takie plany, jakich niktby nie śmiał wprowadzić w czyn, a dokonywał rzeczy, których kto inny nie odważyłby się nawet zamierzyć. W chirurgii nikt go nie mógł doścignąć. Jego nerwy, sąd, intuicya była czemś niezwykłem. Nóż jego wciąż zadawał cięcia śmiertelne, ale równocześnie zaszczepiał nowe pierwiastki życia, gdy jego asystenci bledli, tak, jak i pacyent. Energia, śmiałość, zimna krew i ufność w siebie samego, czyż te zalety nie żyją jeszcze w pamięci ludzi w południowej części Marylebone Road i północnej Oxford Street?

Wady jego były tak ogromne, jak i zalety, ale nieskończenie więcej rozmaite. Chociaż dochody jego były wielkie — był to trzeci z rzędu najbogatszy lekarz w Londynie — nie wystarczały one na zbytkowne jego potrzeby. A potem nagle przyszła szalona miłość jego do lady Sannox, kiedy jedno widzenie się, dwa wyzywające spojrzenia i szeptem wypowiedziane słowo wznieciły w nim pożar. Ona była najpowabniejszą kobietą w Londynie i jedyną dla niego. On jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, ale nie był dla niej jedynym. Pożądała nowych wrażeń i łaskawą była dla wielu ludzi, którzy ubiegali się o jej względy. W tem może była przyczyna albo i skutek, że lord Sannox wyglądał na pięćdziesiąt lat, chociaż miał tylko trzydzieści sześć.

Był to spokojny, cichy, o bezbarwnym charakterze człowiek, ten lord, o cienkich wargach i ociężałych powiekach, oddany wielce ogrodnictwu i pełen upodobań domatorskich. Dawniej lubował się w grze scenicznej, a nawet dzierżawił teatr w Londynie i na jego deskach ujrzał po raz pierwszy miss Marion Dawson, której ofiarował swą rękę, tytuł i trzecią część hrabstwa. Od czasu, gdy się ożenił, dawne upodobanie stało się dla niego wstrętnem. Nie można go nawet było namówić, aby na prywatnych przedstawieniach popisał się swoim talentem, a wiedziano dobrze, że go posiada. Szczęśliwym czuł się z nożem ogrodniczym i polewaczką w ręku wśród swoich orchidei i chryzantemów.

Ciekawa była rzecz, czy zupełnie tego nie odczuwał, czy też nieszczęśliwiec był niespełna rozumu. Czy wiedział o postępowaniu swej żony i na nie się zgadzał, czy był zupełnie ślepym głupcem? Prowadzono na ten temat dyskusye w klubach.

Ale, kiedy Douglas Stone został faworytem, znikły bezpowrotnie wszelkie wątpliwości, czy lord Sannox wie o tem, czy nie wie. Nie było żadnego wytłómaczenia dla Stone'a. Swojem zuchwałem i nieoglądającem się na nic postępowaniem urągał wszelkiej ostrożności i dyskrecyi.

Skandal stał się jawny. Uczone koła oświadczyły, że nazwisko jego zostało wykreślone z listy wiceprezesów. Dwaj przyjaciele błagali go, aby miał wzgląd na swą powagę lekarską, ale on odesłał ich wszystkich razem do dyabła i wydał pięćdziesiąt gwinei na jakąś bagatelkę, aby wziąć ją ze sobą dla lady. Bywał w jej domu codzień wieczór, a ona jeździła jego powozem popołudniu. Ani jedna strona, ani druga nie usiłowała ukrywać swego stosunku, ale w końcu zaszedł wypadek, który go przerwał.

Była to zimowa okropna noc, bardzo zimna i burzliwa. Wiatr huczał po kominach i łomotał o szyby okien. Strumienie deszczu dzwoniły po szkle za każdym świeżym podmuchem wichury, przytłumione na chwilę głuchem bulkotaniem wody, ciekącej z rynny, Douglas Stone skończył obiad i siedział przy ogniu w pracowni, mając pod ręką na malachitowym stole szklankę doskonałego portwejnu. Gdy ją podnosił do ust, spojrzał na nią pod światło i badał okiem drobniutkie łuseczki, które pływały w jej świetnych, rubinowych toniach. Ogień, gdy pryskał w górę, migocąc oświecał tę śmiałą, wygoloną twarz, o bystrych oczach, grubych, a mimoto zaciętych wargach i silnie wystającą kwadratową szczęką, która miała coś rzymskiego w swej mocy i zwierzęcości. Od czasu do czasu uśmiechał się, poprawiając się na swym zbytkownym fotelu. W istocie mógł się czuć zadowolonym, bo wbrew zdaniu sześciu kolegów, dokonał operacyi tego dnia, w którym notowano tylko dwa głośniejsze wypadki, a rezultat był świetniejszy, niż wszelkie oczekiwanie. Nikt inny w Londynie nie miałby odwagi pomyśleć o czemś podobnem, ani też nikt nie byłby dość biegłym, aby módz dokonać tak bohaterskiego dzieła.

Ale on obiecał lady Sannox, że będzie się z nią widział dziś wieczór, a to było już w pół do dziewiątej. Sięgnął już ręką po dzwonek, aby zamówić powóz, kiedy usłyszał głuche uderzenie młotka. W chwilę później usłyszał szmer stóp w sieni; gwałtownie otwarto drzwi.

— Pacyent czeka na pana w pokoju konsultacyjnym — odezwał się lokaj.

— Czy o niego samego chodzi?

— Nie panie, zdaje się, że chce, aby pan z nim wyszedł.

— Późno jest — powiedział kwaśno Douglas Stone. — Nie chce mi się iść.

— Oto karta, proszę pana.

Lokaj podał ją na złotej tacy, którą pan jego otrzymał od żony premiera ministrów.

— Hamil Ali, Smirna. Hm! Zdaje się, że ten człowiek jest Turkiem.

— Tak panie. Wygląda, jakby przybył z zagranicy.

— Jestem zaproszony. Muszę iść gdzieindziej. Ale zobaczę go. Wprowadź go tu, Pim.

W kilka chwil potem lokaj otworzył drzwi i wprowadził małego, zgrzybiałego człowieka, który kroczył pochylony z twarzą naprzód wysuniętą i przymrużonemi oczyma, co pochodzi z nadzwyczaj krótkiego wzroku. Twarz jego była śniada, a włosy i broda czarne, jak węgiel. W

jednej ręce trzymał turban z białego muślinu z czarwoną opaską, a w drugiej mały zamszowy woreczek.

— Dobry wieczór — rzekł Douglas Stone, kiedy lokaj zamknął drzwi. — Sądzę, że pan mówi po angielsku?

— Tak, panie. Pochodzę z Azyi mniejszej, ale mówię po angielsku, chociaż słabo.

— Zdaje mi się, że pan chcesz, abym z nim poszedł?

— Tak, panie. Pragnę bardzo, żeby pan oglądnął moją żonę.

— Mógłbym przyjść rano, bo zaproszony jestem na wieczór, co mi nie pozwala widzieć dzisiaj żony pańskiej.

Odpowiedź Turka była osobliwa. Pociągnął sznurek, który zaciskał otwór zamszowego woreczka i wysypał stos złota na stół.

— Oto sto funtów — mówił i zaręczam, że nie zabiorę całej godziny. Dorożka czeka przy drzwiach.

Douglas Stone spojrzał na swój zegarek. Jedna godzina nie opóźniłaby zbytnio jego wizyty u lady Sannox. Bywał tam później. A honoraryum było nadzwyczaj wysokie. Wierzyciele trapili go w ostatnich czasach i nie mógł się zdobyć na to, aby zaniechać takiej sposobności. Poszedłby.

— O co to chodzi? — spytał.

— O, to smutny wypadek, bardzo smutny. Pan może słyszał o sztyletach Almohadesa?

— Nigdy.

— To są starodawne sztylety wschodnie, niezwykle ostre, z rękojeścią, podobną do tego, co wy nazywacie strzemieniem. Ja jestem handlarzem osobliwościami, rozumie pan i w tym celu przybyłem do Anglii ze Smirny, ale na przyszły tydzień wracam napowrót. Wiele rzeczy przywiozłem ze sobą i mało zostawiłem, ale pomiędzy niemi na moje nieszczęście był jeden z tych sztyletów.

— Pamiętaj pan, że mam zaproszenie — odezwał się chirurg trochę podrażniony. — Proszę się ograniczyć do potrzebnych tylko szczegółów.

— Zobaczy pan, że to jest potrzebne. Dzisiaj, moja żona upadła zemdlona w tym pokoju, w którym trzymam moje towary i przebiła sobie dolną wargę na tym przeklętym sztylecie Almohadesa.

— Rozumiem — rzekł Douglas Stone, podnosząc się. — I pan chcesz, abym opatrzył ranę?

— Nie, nie; to gorsza historya.

— Cóż więc?

— Te sztylety są zatrute.

— Zatrute!

— Tak, i niema człowieka ani na Wschodzie ani na Zachodzie, któryby mógł powiedzieć teraz, co to za trucizna i jaki jest na nią środek. Zresztą wszystko dobrze jest znane, wiem o tem, bo mój ojciec prowadził ten handel przedemną i mieliśmy wiele do czynienia z tą zatrutą bronią.

— Jakie są symptomy?

— Głęboki sen i śmierć w trzydziestu godzinach.

— I pan mówisz, że na to niema rady? Dlaczegoż więc masz mi płacić tak znaczną sumę?

— Żadne lekarstwo nie może pomódz, tylko nóż.

— Jakto?!

— Trucizna rozchodzi się powoli. Pozostaje przez kilka godzin w ranie.

— Wymycie więc możeby pomogło?

— Nie więcej, jak przy ukąseniu przez węża. Trucizna zbyt jadowita i zabójcza.

— Więc wycięcie rany?

— Otóż to. Jeżeli znajduje się na palcu, to odciąć palec. Tak mówił zawsze mój ojciec. Ale pomyśleć, gdzie ta rana jest i że to moja żona. To okropne!

Przyzwyczajenie jednak do takich strasznych wypadków może przytępić wszelkie współczucie w człowieku. Dla Douglasa Stone'a był to zawsze interesujący wypadek, odrzucił więc na bok skrupuły małżonka, jako niemające związku z rzeczą.

— Zdaje się, że to pomoże, albo nie — odezwał się szorstko. — Lepiej stracić wargę, niż żonę.

— Ach tak, wiem, że pan ma słuszność. Tak, tak, to kismet i musi się to przyjąć. Mam dorożkę, a pan pojedzie ze mną i dokona tego.

Douglas Stone wyjął kasetkę z narzędziami z szuflady i włożył ją wraz ze swojemi bandażami i szarpiami do kieszeni. Nie mógł tracić więcej czasu, jeżeli miał widzieć lady Sannox.

— Jestem gotów — rzekł, wciągając paltot. — Napije się pan szklankę wina, zanim pan wyjdzie na zimno?

Gość odskoczył w tył i podniósł rękę protestująco.

— Pan zapomina, że jestem muzułmaninem i wiernym wyznawcą Proroka — mówił. — Ale powiedz mi, co to za flaszka z zielonego szkła, którą pan włożył do kieszeni?

— To chloroform.

— A to także jest nam wzbronione. To alkohol, a my nie używamy takich rzeczy.

— Co! Pan chcesz, aby żona przeszła taką operacyę bez znieczulenia?

— Ach! Ta biedna istota nie będzie zupełnie czuła. Głęboki sen już nadszedł, co jest pierwszą oznaką działania trucizny. A zresztą dałem jej dozę naszego opium ze Smirny. Chodź pan, bo już minęła cała godzina.

Gdy wyszli w ciemność, strumień deszczu lunął im w twarz, a lampa w sieni, którą trzymała ręką marmurowa karyatyda, zgasła za jednym podmuchem. Lokaj Pim otworzył ciężkie drzwi, przytrzymując je silnie ramieniem przed wiatrem, podczas gdy dwaj ludzie szli po omacku ku żółtawemu światełku, które wskazywało miejsce, gdzie czekała dorożka. W chwilę potem puścili się w drogę z turkotem.

— Czy to daleko? — zapytał Douglas Stone.

— O nie. Nasze małe spokojne mieszkanie znajduje się na Enston Road.

Chirurg przycisnął sprężynę swego repetyera i przysłuchiwał się delikatnemu dzwonieniu, które powiedziało mu godzinę. Było kwadrans na dziesiątą. Obliczał odległość i czas, jakiby mu powinno zająć wykonanie tak prostej operacyi. Powinienby przyjść do lady Sannox o godzinie dziesiątej. Przez zapocone okno widział, jak mijali przyćmione latarnie gazowe, a czasem większy blask jakiejś wystawy sklepowej. Deszcz łomotał po skórzanej budzie powozu, a koła chlapiąc pędziły po kałużach i błocie.

Naprzeciw niego jaśniał niewyraźnie w mroku turban towarzysza. Chirurg zaczął szukać po kieszeniach i przygtował swoje igły, bandaże i lancety, żeby nie tracić na to czasu, gdy przybędą na miejsce. Kręcił się z niecierpliwości i stukał nogami.

Dorożka zwolniła biegu i stanęła w miejscu. W jednej chwili wyskoczył z niej Douglas Stone, a tuż za nim kupiec smirneński.

— Możecie zaczekać — powiedział do dorożkarza.

Był to nędznie wyglądający dom na wązkiej, brudnej ulicy. Chirurg, który dobrze znał swój Londyn, rzucił okiem szybko w mroku, ale nie ujrzał nic nadzwyczajnego, żadnego sklepu, żadnego na ulicy ruchu, nic, tylko dwa rzędy posępnych domów piętrowych, podwójną linię wilgotnych płyt kamiennych, połyskujących w świetle latarni dwa strumienie wody w rynsztokach, która szumiąc i bełkocząc, płynęła ku kracie kanałowej. Naprzeciw niego znajdowała się brama brudna i odrapana, a mdłe światło

lampy u góry służyło chyba po to, aby pokazać kurz i brud, jaki ją pokrywał. Na górze w jednem oknie sypialni widać było słabe żółtawe światło. Kupiec zapukał głośno, a gdy swą ciemną twarz zwrócił ku światłu, Douglas Stone mógł ujrzeć, jak rysy jego wykrzywił niepokój. Odsunięto rygiel i jakaś starsza kobieta stanęła w drzwiach ze świecą, osłaniając wązki jej płomyk kościstą ręką.

— Czy wszystko dobrze? — wyjąkał kupiec.

— Jest w takim stanie, w jakim ją pan zostawił.

— Nic nie mówiła?

— Nie, pogrążona jest w głębokim śnie.

Kupiec zamknął drzwi, a Douglas Stone szedł przez wązki kurytarz, rozglądając się dokoła siebie z pewnem zaciekawieniem. Nie było żadnego linoleum, ani rogóżki, żadnego wieszadła. Gruby szary kurz i ciężkie festony pajęczyny napotykało wszędzie jego oko. Gdy postępował za starą po kręconych schodach, pewny chód jego odbijał się echem po cichym domu. Nie było dywanu.

Sypialnia znajdowała się na drugim piętrze. Douglas Stone wszedł za starą piastunką do środka, a kupiec tuż za nim. Tu nareszcie były jakieś meble i to podostatkiem. Podłoga była wyścielona dywanem, a kąty zarzucone tureckimi sprzętami, wykładanymi stolikami, kolczugami, dziwnemi fajkami i osobliwą bronią. Jedna mała lampa stała na postumencie pod ścianą. Douglas Stone zdjął ją i torując sobie drogę wśród rupiecia, przystąpił do łóżka w kącie, gdzie leżała jakaś kobieta, ubrana po turecku z jaszmakiem i welonem. Dolna część jej twarzy była odkryta i chirurg ujrzał zygzowate zacięcie, które szło brzegiem dolnej wargi.

— Wybaczy pan, że jest zasłonięta jaszmakiem — odezwał się Turek. — Pan zna nasze wschodnie obyczaje.

Ale chirurg nie myślał wcale o jaszmaku. Przestała już być dla niego kobietą. Był to dla niego tylko wypadek. Stanął i badał troskliwie ranę.

— Niema żadnych śladów zaognienia — powiedział. — Możemy odłożyć operacyę, aż okażą się symptomy lokalne.

Małżonek załamał ręce ruchem, nie dającym się opisać.

— O panie! panie! — zawołał. — Nie żartuj. Pan nie rozumie tego. To jest zabójcze. Ja wiem i zapewniam pana, że operacya jest koniecznie potrzebną. Tylko nóż może ją ocalić.

— I mimo to jestem tego zdania, aby zaczekać — rzekł Douglas Stone.

— Dosyć — krzyknął Turek oburzony. — Każda minuta jest droga, a ja nie mogę tu stać, patrzeć i pozwolić na to, żeby mi żona umarła. Pozostaje mi tylko podziękować panu za to, żeś przyszedł i zawezwać innego chirurga, nim będzie zapóźno.

Douglas Stone zawahał się. Zwrócić te sto funtów to nie należało do przyjemności. A jeżeli Turek ma słuszność i kobieta umrze, to jego stanowisko wobec koronera może być kłopotliwe.

— Czy pan sam doświadczyłeś tej trucizny? — zapytał.

— Tak.

— A czy pan zaręcza mi, że operacya jest konieczna?

— Przysięgam na wszystko, co mi jest święte.

— Oszpecenie będzie okropne.

— Wiem, że usta nie będą tak ładne, aby je całować.

Douglas Stone spojrzał srogo na tego człowieka. Powiedzenie to było brutalne. Ale Turek ma właściwy sobie sposób wyrażania się i myślenia, a nie było czasu na sprzeczki. Douglas Stone wyjął nóż z kasetki, otworzył go i dotknął delikatnego ostrza wskazującym palcem. Potem przybliżył lampę do łóżka. Dwoje czarnych oczu wpatrywało się w niego przez szparę jaszmaku. Źrenica była zwężona i ledwo ją było widać.

— Dałeś jej pan bardzo wielką dozę opium.

— Tak, dobrą dozę.

Spojrzał znowu na ciemne oczy, które patrzyły prosto na niego. Były one małe i zamglone, ale właśnie, gdy się w nie wpatrywał, zabłysły na chwilę, a usta zadrgały.

— Nie jest zupełnie nieprzytomna — powiedział.

— Czy nie byłoby dobrze zrobić operacyę, póki nie będzie czuła bólu.

Tego samego zdania był i chirurg. Ujął zranioną wargę swemi kleszczami i dwoma szybkiemi cięciami wyrznął szeroki płat ciała w kształcie V. Kobieta rzuciła się na łóżku i wrzasnęła, strasznie bełkocząc. Zasłona opadła jej z twarzy. Była to ta twarz, którą znał. Pomimo tej sterczącej górnej wargi i tej krwawej plamy poznał ją. Trzymała się ręką za szczękę, krzycząc. Douglas Stone osunął się na skraj łóżka z nożem i szczypcami w rękach. Pokój zakręcił się dokoła niego, a w uszach posłyszał jakby darcie się szwu. Widz powiedziałby, że jego twarz wyglądała więcej trupio niż twarz tamtego. Jakby we śnie, albo jak gdyby się przypatrywał jakiemuś widowisku, ujrzał, że broda i włosy Turka leżały na stole, a lord Sannox stał oparty o ścianę, z ręką przy boku i śmiał się cicho. Krzyk teraz zamarł, a straszna głowa opadła napowrót na poduszkę, ale Douglas Stone siedział ciągle bez ruchu, a lord Sannox jeszcze śmiał się cicho sam do siebie.

— W istocie ta operacya była bardzo potrzebna dla Marion — przemówił — nie dla ciała, ale dla ducha, pan rozumie, dla ducha.

Douglas Stone pochylił się naprzód i zaczął się bawić frenzlą kołdry. Nóż jego opadł z brzękiem na podłogę, ale on trzymał wciąż w ręku szczypce i coś jeszcze.

— Dawno zamierzałem dać małą nauczkę — mówił słodko lord Sannox. — Pański liścik ze środy zaginął, a ja mam go tu w portfelu. Trudno mi trochę było wykonać mój plan. A co do rany, to pochodzi ona od mego sygnetu i wcale nie niebezpiecznego.

Patrzył bystro na swego milczącego towarzysza i odwiódł kurek małego rewolweru, który miał w kieszeni surduta. Ale Douglas Stone jeszcze skubał frenzle.

— Widzisz pan, że mimo wszystkiego, stawiłeś się pan na zaproszenie — rzekł lord Sannox.

A na to Douglas Stone zaczął się śmiać. Śmiał się długo i głośno. Ale lord nie śmiał się teraz. Rysy jego zaostrzyły się i skamieniały, jakby ze zgrozy. Wyszedł z pokoju, ale na palcach. Stara kobieta czekała przed drzwiami.

Uważał na swoją panią, kiedy się obudzi — powiedział lord Sannox.

Potem zeszedł na ulicę. Dorożka stała przy bramie, a woźnica podniósł rękę do kapelusza.

— John — mówił lord Sannox — odwieziesz najpierw doktora do domu. Myślę, że trzeba go będzie sprowadzić na dół ze schodów. Powiedz jego lokajowi, że zasłabł przy operacyi.

— Bardzo dobrze, panie.

— Potem odwieziesz lady Sannox do domu.

— A pana?

— O, mój adres na kilka miesięcy będzie Hotel di Roma, Wenecya. A uważaj, żeby listy wysłano. I powiedz Stevensowi, aby urządził wystawę wszystkich purpurowych chryzantemów w najbliższy poniedziałek i dał mi znać telegraficznie o rezultacie.

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z ojczystych stron.

Lublin.

Wśród uroczej, wzgórzystej okolicy, wznosi się nad rzeką Bystrzycą w Królestwie Polskiem prastary Lublin, jeden z najdawniejszych i najbogatszych grodów dawnej Polski. Sięga on odległych piastowskich czasów; za Mieczysława stanął tu już pierwszy kościół św. Mikołaja na wzgórzu nad rzeką Czechówką. Bolesław Chrobry zbudował zamek, do którego Krzywousty dodał wieżę. W podziale między synami tego króla, Lubelskie przypadło Henrykowi, który je przekazał najmłodszemu z braci Kazimierzowi Sprawiedliwemu.

Oblegał Lublin bezskutecznie Roman ks. Halicki, który poległ pod Zawichostem, walcząc z Leszkiem Białym. W czasie pierwszego napadu, Mongołowie w roku 1241-ym spalili Lublin i zniszczyli kraj. W kilka lat później Litwini z Jadźwingami i Prusakami w gruzy go zamienili. Następnie zajął to miasto Daniel, książę Halicki, potem Mendog. Leszek Czarny wyparł Daniela aż po Lwów, a Jadźwingów, niszczących ziemię lubelską pokonał zupełnie na Podlasiu nad Narwią.

Powróciwszy z tej wyprawy, Leszek kościół farny, pod wezwaniem św. Michała, wystawił, używając do jego budowania jeńców wojennych.

Gdy Przemysław na Pomorzu starał się jednoczyć rozerwane części Bolesławowej Polski, Rusini opanowali znów Lublin, który dopiero za panowania Wacława odebrali Krakowianie i Sandomierzanie, podstąpiwszy pod miasto w znacznej sile. Łokietek nadał mu prawo magdeburskie a Kazimierz W. wzniósł zamek murowany i opasał miasto grubym murem, wystawiając także wspaniałe dwie bramy: Krakowską i Grodzką, które do dziś dnia cennym są zabytkiem dawnego budownictwa.

Za Jagiellonów, którzy Lublin obdarzali licznemi przywilejami, podniósł się dobrobyt; tędy szedł handel ze Wschodem, sprowadzano też towary z Francyi, Włoch i Niemiec.

Za Zygmunta Starego zbudowano wodociągi dostarczające miastu wody z Bystrzycy, zburzone następnie w czasie wojen szwedzkich.

Zygmunt August często przebywał w Lublinie, w pałacu Radziwiłłów, który mu wniosła w posagu Barbara; tu w roku 1569 po sejmie nastąpiło podpisanie Unii. Przed pałacem na placu Litewskim, tak nazwanym od wielkiej liczby przybyłych Litwinów, którzy wtedy na placu tym obozowali, dokonał się ów akt pamiętny w dziejach, poczem w kościele Dominikanów szlachta litewska i wołyńska składała przysięgę.

Wkrótce potem Zygmunt August, siedząc na wzniesionym w rynku tronie, odebrał hołd i przysięgę lenną od Albrechta Fryderyka pruskiego.

Pod potężnem berłem Batorego Lublin nie przestał wzrastać w zamożność i liczbę mieszkańców, tem więcej, iż król ten ustanowił tu trybunał. Za Zygmunta III-go było w Lublinie wiele cechów rzemieślniczych, jako to: tkaczy, czapników, powroźników, szmuklerzy, etc.

W połowie XVII-go wieku Lublin upadać zaczyna. Najpierw rokosz Zebrzydowskiego ściągnął klęski na stan kupiecki, następnie zatargi religijne spowodowały wydalenie wielu rodzin kalwińskich, Feliks Herburt napadał zbrojno z ludźmi swymi na domy innowierców, na dom Rafała Leszczyńskiego i Firlejów; rozhukani studenci jezuiccy poburzyli kościół ewangelicki, zbór aryański i domy żydowskie, przyczem wielu żydów ranili, a nawet zabili.



Ogólny widok Lublina.

Najwięcej jednak ucierpiał Lublin

za panowania Jana Kazimierza. W r. 1656 Kozacy Chmielnickiego, pod wodzą Złotarenki, spalili i zrabowali przedmieścia i najpiękniejsze gmachy z ziemią zrównali. Szwedzi też dali mu się we znaki, a w 1695 srożyła się w nim zaraza.

Nigdy też już potem Lublin dawnej świetności swej nie odzyskał, nawet pod berłem Sobieskiego, który często gród ten odwiedzał i przywilejami go obdarzał. W czasie współzawodnictwa o koronę Leszczyńskiego z Augustem zajmowany był przez wojska Piotra W. i saskie, prócz tego nawiedzony został strasznym pożarem w r. 1710. Coraz większy też upadek i zubożenie mieszczan następowało.

W czasie konfederacyi Barskiej stał w Lublinie przez czas długi Suworow, który tu sobie magazyny dla wojska utworzył. W roku 1794 po bitwie Maciejowickiej, nie czekając trzeciego rozbioru, zajęli Lublin Austryacy, zatrzymując go aż do roku 1806, w którym to czasie książę Józef Poniatowski, jako naczelny wódz wojska polskiego, wchodząc do Lublina, przyłączył go do ówczesnego Księstwa Warszawskiego. Od roku 1815, t. j. od kongresu wiedeńskiego, miasto weszło w skład Królestwa.

Lublin, mający obecnie niespełna 40,000 m., posiada 11-cie kościołów starożytnych, a było ich w przeszłości jeszcze więcej, lecz niektóre wskutek starości i zrujnowania rozebrane zostały, jak fara, czyli kościół św. Michała przez Leszka Czarnego wzniesiony, Franciszkanów, św. Wojciecha i t. d.

Do najdawniejszych zabytków budownictwa swojskiego liczy się kościół Matki Boskiej Zwycięskiej, po-Wizytkowski, dawniej Brygidek, wystawiony przez Władysława Jagiełłę, na pamiątkę zwycięstwa pod Grunwaldem. Jest on cały z kamienia, w stylu gotycko-nadwiślańskim, którego nie zatarły odnowienia i przeróbki, niejednokrotnie dokonywane. Kościół ten i klasztor ucierpiały wiele przez burze wojenne, to też dziś wnętrze razi pustką, posiada jedynie pięknie rzeźbione dębowe stalle i drzwi do zakrystyi.

Osadzone tu w XV. wieku zakonnice św. Brygidy, księżniczki szwedzkiej, zajmowały się kształceniem dziewcząt. W roku 1818 zakon ten został rozwiązanym, a w miejsce Brygidek osadzono tu Wizytki. Dziś część zabudowań klasztornych należy do duchowieństwa prawosławnego. — Katedrę lubelską fundował Bernard Maciejowski, arcybiskup gnieźnieński, kardynał, r. 1582 dla oo. Jezuitów, którzy występując w obronie katolicyzmu, mieli tu otwarte i rozległe pole działania z powodu, iż Kalwini i Socynianie licznie osiedli w Lublinie, mieli tu swoje zgromadzenia i drukarnie, i występowali do dysput religijnych z duchowieństwem łacińskiem.



Katedra lubelska widok frontowy.

Wskutek potęgi Jezuitów kościół ten stał się bogatym i pięknym, lecz przez kilkakrotne restauracye późniejniejsze, a zwłaszcza przez dodanie greckiego portyku r. 1848, zatracił swój styl pierwotny. Po kassacie Jezuitów kościół oddano Trynitarzom, którzy, nie mając funduszów na utrzymanie doprowadzili go do ruiny. W roku 1805 za staraniem rządu austryackiego utworzono stolicę biskupią w Lublinie, który dotychczas należał do dyecezyi krakowskiej, a na katedrę obrano kościół po-Jezuicki.

Wnętrze katedry, jak i cały kościół, jest w stylu późnego renesansu, ściany i sklepienia pokrywają freski, malowane przez Mayera r. 1757, i za ostatnią restauracyą podjętą staraniem biskupa Baranowskiego odświeżone. W głównym ołtarzu umieszczono wielki krucyfiks, przeniesiony z katedry krasnostawskiej; tamże, prócz dwóch cennych obrazów, znajduje się rzeźba, przedstawiająca Narodzenie Chrystusa Pana, przypisywana Stwoszowi.

Piękną jest przy tym kościele kaplica św. Stanisława Kostki, wzniesiona w r. 1590 przez księżnę Radziwiłłową, dla syna jej z pierwszego małżeństwa, ks. Słuckiego Olelkowicza. Ściany w tej kaplicy są wyłożone czarnym marmurem, sklepienie całe zdobią sztukaterye. W ołtarzu, otoczonym wotami, znajduje się ów sławny krucyfiks trybunalski, przeniesiony z kolegiaty św. Michała, gdzie po zniesieniu trybunału lubelskiego pozostawał.

W kaplicy Matki Boskiej, zwanej też kaplicą poetów, widzimy dwa pomniki podobne, czyli tablice pamiątkowe, na jednej z nich, przeniesionej także z kościoła św. Michała po jego rozebraniu, jest napis następujący:

„Sebastyan Klonowicz, urodzony w Sulmierzycach 1551 r. Umarł w Lublinie 29-go sierpnia 1608 r.“



Katedra lubelską widok z boku.

Poniżej zaś wyryty wiersz Koźmiana:

„Zniszczył czas pomnik Leszka ku czci Archanioła,
Ten kamień oszczędziły zwaliska kościoła.
Zaszczyt miasta, jak chwała wieszcza nie zaginie,
Troskliwy pasterz drugą zdobi mu świątynię.“

Drugą tablicę poświęcono przed laty 30 pamięci Wincentego Pola, urodzonego w Lublinie 1807 r.

Niezwykłym starożytnym zabytkiem w katedrze jest bronzowa chrzcielnica z XIII. wieku w kształcie kielicha. Znajdują się też nagrobki z portretami biskupów lubelskich, między temi niedawno zmarłego biskupa Wnorowskiego, i innych znakomitych ludzi, jak astronoma Baranowskiego.

Wspomnieć jeszcze wypada obszerny, pięknie malowany kapitularz o podwójnem sklepieniu, które zdobi fresk z wyobrażeniem Michała Archanioła; zwraca on uwagę szczególną akustyką: mówiących cichym szeptem w rogu tej obszernej sali, słyszy się wyraźnie w drugim jej końcu. Tu mieści się także skarbiec katedralny, posiadający cenne monstrancye, kielichy, i aparaty kościelne, pomiędzy którymi jest wspaniały ornat, wypukło złotem haftowany.

Kościół Przemienienia Pańskiego, po-Missyonarski przy ulicy Zamojskiej, wzniesiony staraniem podkomorzyny Zbąskiej i Jana Tarły dla Missyonarzy, którzy zajmowali się seminaryum. Ściany klasztoru zdobią dziwaczne alegoryczne medaliony rzeźbione, odnoszące się do historyi bajecznej, oraz późniejszych dziejów naszych, przedstawiające naprzemian popiersie lub znak jakiś symboliczny, mający się odnosić do osoby, określając jej charakter lub czyny. I tak uczta ma oznaczać, iż medalion, któremu towarzyszy, przedstawia Piasta; medalion z sową pośrodku, na którą napadają kruki, zdaje się objaśniać, iż figura księcia, umieszczona na sąsiednim medalionie jest Mieczysławem I-szym, i t. d. Teraz gmach missyonarski zajmuje seminaryum duchowne. W ogrodzie klasztornym znajduje się dawna kaplica aryańska.



Wieża Daniela na zamku lubelskim

Kościół Kapucynów, skromny, jak wszystkie kościoły zakonników tej reguły. W klasztorze mieścili się księża Kapucyni, spełniając gorliwie swe obowiązki duchowne aż do kassaty, t. j. do roku 1864. Jednym z ostatnich zakonników był światły o. Prokop Leszczyński, pisarz i kaznodzieja, zmarły w Nowem-Mieście nad Pilicą.

Kościół Karmelitów bosych przy ulicy św. Ducha niewielki, ale piękny, w stylu włoskim; wnętrze nic ciekawego nie zawiera.



Gmach sądowy, niegdyś trybunał w Lublinie.

Kościół i klasztor sióstr Miłosierdzia, dawniej Karmelitanek czyli Poczętek, przy ulicy Poczętkowskiej, niewielki, lecz starannie utrzymany, od roku 1830 jest w posiadaniu Szarytek. Są tu dwie zakrystye; w jednej z nich zwracają uwagę szafy i stół ozdobny, przypominające zupełnie kształtem i malowaniem w kwiaty i ptaki różnobarwne, styl zakopiański. Jakim sposobem znalazły się tu owe sprzęty, niewiadomo, czy przywiezione zostały z podkarpackich okolic, czy też są wyrobem miejscowym. W każdym razie cenne to zabytki dawnej sztuki swojskiej.

Kościół Dominikanów, jeden z najstarszych w Lublinie, stoi na pochyłości góry po nad wałem starego miasta, zajmując wraz z klasztorem olbrzymią przestrzeń. Podziwiać trzeba owe potężne mury, co wieki przetrwały, opierając się wstrząśnieniom i zawieruchom krajowym. Pamiątka to po wielkim królu, który Polskę urządził i wymurował.

Kazimierz W., w miejscu, gdzie stała kapliczka św. Krzyża, w roku 1342 wzniósł ten wspaniały przybytek Boży.

Świątynia wystawiona była w stylu gotyckim całkiem z kamienia, sklepienie żebrowane rozchodziło się w kształcie gałęzi drzewa palmowego. Pożary i liczne restauracye zatarły ślady pierwotnej architektury kościoła i sklepień. Po wielkim pożarze, któremu uległ kościół Dominikanów roku 1505, pół wieku upłynęło, nim zdołano dźwignąć z gruzów zarówno samą świątynię, jak i olbrzymi klasztor, wraz z ogromnymi korytarzami, celami, składami i lochami, w których w czasach wojennych mogła się znaczna ludność chronić.

Dziesięć kaplic posiada ten kościół, w różnych czasach wzniesionych. Z tych zasługują na wzmiankę:

Kaplica Niepokalanego Poczęcia, malowana przez Makowskiego, którego oo. Dominikanie kazali kształcić artystycznie za granicą; posiada piękne drzwi dębowe, oraz pomnik Krasickiej. Kaplica Ruszlowska, świętobliwego Dominikanina zm. 1658.

Kaplica Przemienienia Pańskiego ze wspaniałym grobowcem Piotra Firleja w stroju węgierskim, w postaci leżącej.

W kaplicy św. Jacka znajdują się dwa obrazy historyczne: pierwszy z nich przedstawia uciekających z pod Lublina Kozaków Chmielnickiego. drugi Jana Kazimierza z posłem weneckim, przed ołtarzem z relikwiami Krzyża świętego.

Kaplica Przonków mieści pomnik Adama Przonki z Babina, podkomorzego, syna założyciela rzeczypospolitej Babińskiej. Kaplica Firlejów, czyli św. Krzyża, dla tychże relikwii

wzniesiona przez Henryka Firleja arcybiskupa gnieźnieńskiego, posiada okazałe pomniki Firlejów: wojewody Piotra i Mikołaja, kasztelana krakowskiego, oraz następujące obrazy: Wizerunek Zbawiciela na krzyżu, u stóp Marya Magdalena, przeniesienie Krzyża św. do Jerozolimy, po odebraniu go Persom, zdarcie szat z Chrystusa Pana, wskrzeszenie umarłego przez dotknięcie Krzyżem św. w obecności cesarzowej Heleny i jej dworu.

Wszystkie te obrazy dobrze są malowane.

Kościół Dominikański posiada największą część relikwii Krzyża św. ze wszystkich kościołów polskich; dostały się tu z Kijowa, przywiezione przez Andrzeja, biskupa kijow. w XV. wieku. Dla uczczenia relikwii tych wzniesiono aż trzy kaplice. Największą i najpiękniejszą postawił Janusz Tyszkiewicz r. 1645, którą żona jego z wielkim nakładem dokończyła. Jest bardzo wysoka, z kopułą oszkloną; niedawno ozdobiona została staraniem ks. Kłopotowskiego oknami kolorowemi. Ściany w niej są malowane alfresco. Na sklepieniu — Sąd ostateczny z wyobrażeniem różnych kar, mających spotkać grzeszników.

Kościół ten ma dwie ambony, z których w czasach sporów religijnych prowadzono dysputy teologiczne. Tu odbywały się też sejmy i sejmiki wojewódzkie.

Wiele pięknych ołtarzy i malowideł zdobi kościół Dominikański; niektóre mają za przedmiot cuda przez drzewo Krzyża św. czynione, jak uzdrowienie księcia Zasławskiego, lub uciszenie burzy morskiej. W zakrystyi na ścianie znajduje się olbrzymi obraz, przedstawiający pożar Lublina w 1700 r., na którym jest wyobrażone miasto ówczesne.

Skarbiec dominikański zawiera cenne rzeczy, przedewszystkiem bogaty relikwiarz w kształcie krzyża z aniołkami klęczącymi u podstawy, w którym znajduje się drzewo Krzyża św.; bardzo piękne chorągwie z herbami z r. 1618, stół owalny lipowy, na którym według podania podpisano akt Unii Litwy z Polską 1569 roku.

W wielkiej sali piętrowej mieściła się niegdyś bogata biblioteka, wywieziona do Petersburga.

Po skasowaniu klasztorów olbrzymie sale i refektarze dominikańskie przeznaczono dla wojska, następnie oddane zostały Towarzystwu Dobroczynności. Dziś mieszczą się tam zakłady dobroczynne: ochrona chłopców i dziewcząt, przytułek dla sług, pralnie, szwalnie, warsztaty rzemieślnicze dla chłopców, a olbrzymie korytarze służą za sale przytułków noclegowych. Pożyteczne te instytucye powstały z inicyatywy zacnego kapłana ks. Kłopotowskiego, którego też staraniem kościół Dominikanów został odnowiony r. 1899. Jest nadzieja, iż z czasem zakłady te rozwiną się, przynosząc chlubę mieszkańcom Lublina.

Z kościołów innych wyznań znajdują się w Lublinie: Sobór prawosławny, cerkiew po-unicka, kościół ewangelicki.

Najpiękniejszą część miasta, które było opasane murem przez Kazimierza W. stanowi rynek, ze wznoszącym się pośrodku ratuszem, późniejszym trybunałem. Otaczają go stare domy jak dom Sobieskich, kamienica Klonowicza, dom pod lwami, i t. p. Jakkolwiek na dawnych rysunkach ta część Lublina piękniej się przedstawia, gdyż niemal wszystkie domy są z blankami, których dziś już nie widać, ma ona jednak pewien urok przeszłości i charakter starożytny.

Ratusz wybudowany za Jagiełły, kilkakrotnie następnie przerabiany zatracił zupełnie swój pierwotny styl, zwłaszcza gdy go z rozkazu Stanisława Augusta przebudował Merlini, nadając mu wygląd klasyczny. Za Stefana Batorego, czyli w r. 1578 pomieszczono tu trybunał lubelski, magistrat zaś i archiwa usunięto do gmachu po klasztorze Karmelitów.

W wielkiej sali sądowej zawieszony był ów sławny krucyfiks, któremu cuda przypisywano, przeniesiony następnie do kolegiaty św. Michała, a później do kościoła katedralnego. Tu Jan Kochanowski r. 1584, broniąc sprawy brata żony swojej, Podlowskiego, tknięty apopleksyą życia dokonał.

W salach sądowych znajdują się jeszcze portrety: Augusta III., Stanisława Poniatowskiego, Fryderyka Augusta ks. warszawskiego, prymasa Poniatowskiego i marszałka Małachowskiego.

Obecnie w gmachu tym mieści się zjazd sędziów pokoju, hipoteka, i kancelarye rejentów.

Starożytny zamek królewski stoi na południowo-wschodniom wzniesieniu, nad rzeką Bystrzycą. Postawiony za Bolesława Chrobrego i Krzywoustego, nosi też pamiątkę po Danielu ks. Halickim. Gdy bowiem Rusini opanowali Lublin r. 1244 za panowania Bolesława Wstydliwego, książę Daniel kazał obwarować zamek i wystawił w pośredku wielką okrągłą wieżę. Po ustąpieniu Rusinów, napadany był kilkakrotnie przez Tatarów. W roku 1340 zamek opierał im się dzielnie, choć Tatarzy usypali sobie szańce nad rzeką. Kazimierz W. odniósł tu nad nimi zwycięstwo r. 1341, pocżem zniszczony zamek odbudował i obwarował, opasując zarazem Lublin silnemi murami.



Plac targowy z kościołem pokarmelickim.

W r. 1386 Kiejstut, ks. Trocki wraz z Lubartem i Jerzym Narymuntowiczem zdobyli Lublin z zamkiem, który oswobodził Ludwik, król węgierski i polski. W zamku tym później Spytko z Melsztyna witał dążącego do Krakowa Jagiełłę. Po koronacyi Jagiełło i Jadwiga, jadąc na Litwę w otoczeniu książąt i biskupów, zatrzymali się na zamku lubelskim.

Gdy po zwycięztwie Grunwaldzkiem przybył znowu król do Lublina, wystawił tu oprócz kościoła Brygidek kaplicę ś-tej Trójcy, w obrębie samego zamku.

Kaplica ta jest gotycka, a całe jej sklepienie wspiera się na jednym tylko środkowym filarze. Do dziś doskonale zachowana. Ołtarze są w niej z wieku XVI-go, znajdują się też pomniki kanoników lubelskich. Na uwagę zasługuje fresk, przedstawiający klęczącego Jagiełłę przed tronem Matki Boskiej z Panem Jezusem, któremu ofiaruje kościół. Dzieciątko trzyma

pargamin w ręku, na boku stoją św. Cyryl i św. Mikołaj. Jagiełło jest w płaszczu szkarłatnym z gronostajami. Malowidło to przypisują Władysławowi z Kijowa, który sprowadzony był jako malarz religijny dla przyozdobienia niektórych kościołów stawianych w tej epoce w Polsce.

Za Kazimierza Jagiellończyka był w zamku lubelskim wielki zjazd, na którym znajdowali się kardynał Zbigniew Oleśnicki, Doliwa arcybiskup gnieźnieński, Odrowąż arcybiskup lwowski, oraz legat papieski z licznym pocztem świetnego poselstwa.

Król Kazimierz z królową Elżbietą często odwiedzali Lublin, ponieważ synowie ich przemieszkiwali tu przez czas pewien, kształcąc się pod kierunkiem Długosza, Kalimacha i Grzegorza z Sanoka.



Krakowskie przedmieście w Lublinie.

Zygmunt August przebywał w zamku z królową Katarzyną, także zamieszkiwał go przez cały ciąg trwania sejmu r. 1569. Gdy wielkiego czynu zjednoczenia dokonał, w zamku odbyło się ostateczne zatwierdzenie aktu Unii, którą tu Zygmunt August zaprzysiągł wobec szlachty polskiej, litewskiej i ruskiej. Przy uroczystości tej byli obecni: legat papieski, kardynał Hozyusz, poseł cesarza Maksymiliana, króla szwedzkiego, sułtana, księcia pomorskiego i inni.

Nieszczęśliwy Jan Kazimierz po abdykacyi żegnał tu naród piękną przemową.

Odtąd zamek zaczął upadać. Ostatni królowie Sasi mało dbali o jego podtrzymanie, zamek stał się niemal ruiną. W roku 1825 z rozkazu rządu wyrestaurowano go i zamieniono w części na więzienie, w części na sąd kryminalny. Został się kościół ś-tej Trójcy.

Pałac Marka Sobieskiego ma swoje wspomnienia. Za panowania Zygmunta III. przebywał w nim przez dni kilka car Wasil Szujski, z braćmi Dymitrem i Iwanem, przewożony tędy do Warszawy. Później zamieszkał w tym pałacu przez krótki czas Karol XII., następnie zaś przez kilka miesięcy Piotr Wielki. Król Jan III. także tu się zatrzymywał, odwiedzając kilkakrotnie Lublin.

Ulice staromiejskie, otaczające rynek, są wązkie, jak Bramowa, Dominikańska, Archidyakońska, Rybna, Grodzka, którą od przedmieścia Czwartek zamyka brama Grodzka. Nowsze ulice są: Kapucyńska, Namiestnikowska, czyli Matki Boskiej, św. Ducha, Początkowska, Zielona, Bernardyńska, i in.

Przed gmachem gimnazyalnym jest piękny kompas, dar astronoma Baranowskiego.

Środkiem Lublina przechodzi okazała ulica, Krakowskiem Przedmieściem zwana, na której największy ruch panuje i koncentruje się życie miejskie, tu mieszczą się najokazalsze sklepy. Czem jest dla Krakowa linia A B w rynku, czem dla Warszawy Nowy-Świat, tem dla Lublina Krakowskie Przedmieście. Najpiękniejsze gmachy tu się wznoszą, jak sąd okręgowy, kasa przemysłowców, zarząd powiatu, starożytna kamienica Morskich, i dawny pałac Radziwiłłowski, dziś gubernatorski, po za którym rozciąga się obszerny plac Litewski, Gubernatorskim zwany, z pomnikiem. Wśród zieleni i drzew wznosi się na wysokim kopcu kolumna żelazna, 46 stóp wysoka z postaciami Jadwigi i Jagiełły na boku, z datą wzniesienia roku 1569 i odnowienia 1825. Pomnik, postawiony w tem miejscu przez Zygmunta Augusta, skruszył czas; obecny wzniesiono za panowania cara Aleksandra I-go.

Na cmentarzu są piękne pomniki, do najokazalszych zaliczają się: pomnik biskupa Wnorowskiego, Klemensa Junoszy Szaniawskiego, Brodowskich, Mazurkiewiczów. Jest też okazała synagoga i cmentarz żydowski.

Lublin z powodu swoich wspaniałych bram średniowiecznych i licznych kościołów, zachował pewną cechę starożytną, choć nowe budowle i ruch uliczny nadają mu wygląd miast nowożytnych. Do ożywienia miasta przyczynia się niemało kolej Nadwiślańska, łącząca Lublin z Warszawą i guberniami zachodniemi cesarstwa. Są tu dorożki, posłańcy, hotele wygodne i cukiernie, teatr zimowy i letni.

Handel, będący przed wiekami w kwitnącym stanie, przeszedł w ręce żydów, którzy go opanowali w czasie upadku mieszczan. Przemysł, względnie do innych miast, niezbyt się tu podnosi. Istnieją w Lublinie garbarnie oraz fabryki mydła i bryczek, drukarnie, litografie, etc.

Z większych instytucyi finansowych i społecznych wymienimy: Towarzystwo Kredytowe m. Lublina, Kasę przemysłowców, Oddział banku handlowego łódzkiego i warszawskiego, Towarzystwo rolnicze, Tow. lekarskie, i t. d.

Z okolic wspomnieć wypada ruiny zamku Firlejów, Bronowice z parkiem publicznym, Tatary, wieś w której są dotąd okopy tatarskie, Konopnicę, Sławinek, zakład kąpielowy, istniejący od r. 1860, wreszcie Firlejowszczyznę, folwark ofiarowany przez ziemian Wincentowi Polowi.

W. Tyszka.

Z dziejów mieszczaństwa poznańskiego
w XVI. wieku.

Napisał ks. **Dr.**

W pierwszych wiekach istnienia miasta Poznania wszyscy jego mieszkańcy byli zapewne szczepu lechickiego czyli słowiańskiego. Na początku w. XIII zaczęli w nim osiadać Niemcy; ku końcowi tegoż wieku lub na początku XIV w. zjawiają się w nim żydzi; w XVI wieku a może już ku schyłkowi XV wieku natrafiamy na rodziny szkockie, włoskie i greckie.

Co do Niemców, to zwłaszcza napływ ich w połowie 13 wieku był znaczny. Przynosili oni ze sobą niektóre rzemiosła i nieco oświaty, która atoli nie wiele co większa była od oświaty mieszkańców polskich, lecz za to miała zamiłowanie porządku, skrzętności i pilności i w tem zawsze korzystnie odróżniali się od mieszkańców polskich. Przez trzy wieki przybysze ci rządni,

handlem i przemysłem wzbogaceni, opierali się przyjęciu obcej sobie narodowości. Lecz właśnie czasy te, o których mówić zamierzam, t. j. wieku XVI znaczną pod tym względem okazują zmianę. Potężne panowanie Jagiellonów, budzące uśpionego ducha i poczucie narodowościowe, doprowadziło do słusznej przewagi polskiej ludności, obecnie i pod materyalnym względem rywalizować mogącej z dorabiającymi się lub już wzbogaconymi skrzętnością swoją niemieckimi przybyszami. Już więc w końcu XV wieku poczyna ta mniejszość niemiecka ulegać w Poznaniu, lecz dorobiwszy się nad brzegiem Warty i znalazłszy w gościnnej zawsze Polsce drugą ojczyznę ani nie myśleli oni o ratowaniu ducha, narodowości i języka swego przez powrót do ojczystych zagonów, lecz spolszczyli się zatrzymawszy rządność i pilność, która ich przodków znamionowała. W tej więc epoce język polski stał się w aktach miejskich cywilnych i kryminalnych, w statutach rzemieślników i różnych bractw powszechnym i urzędowym.

Rodziny niemieckiego pochodzenia i niemieckich nazwisk jak to Czeplowie, Wildowie, Struthowie, Reszkowie, Winklerowie, Ungrowie, Pestlowie, Bedermanowie, Hapowie, Treterowie, Heltowie, Sporowie itd. stały się zupełnie polskiemi, a z Niemców, którzy za Przemysława I lub później w Poznaniu osiedli, ledwie ślady na początku wieku XVI w nazwiskach zostały. Z tem wszystkiem rozmaite okoliczności składały się na to, iż niemiecka narodowość nigdy w Poznaniu nie wyginęła zupełnie. To samo prawo magdeburskie, którem się miasta w Niemczech rządziły, było jedną z wielkich ponęt dla Niemców do osiadania w Poznaniu, nie upłynęło też i w wieku XVI ani jedno dziesięciolecie, w któremby kilka choćby rodzin niemieckich do Poznania nie przybyło. Napływ ten Niemców do Poznania powiększył się jeszcze po odzyskaniu Prus Królewskich z rąk Krzyżaków; jeszcze wśród zbrojnych zapasów osiadło w Poznaniu wiele rodzin niemieckich z Gdańska, Torunia, Elbląga i innych miast. Liczba też Niemców za czasów Kazimierza Jagiellończyka i dwóch synów jego Olbrachta i Aleksandra była tak wielką, że przy kościele farnym św. Maryi Magdaleny utrzymywali osobnego kaznodzieję niemieckiego, mieszkającego w t. zw. ciemnej bramce. Starsi mieszkańcy Poznania pamiętają zapewne jeszcze rozebraną tę koło r. 1880 „ciemną bramkę", która stała u wejścia do ulicy dziś Bramkową zwanej idąc od Nowego Rynku i znajdującą się na niej płytę z napisem w gotyckich literach: „Anno Christi 1503 10 Julij Vorbrocht diese Wonungk eines deutschen Predigers durch Huld deutscher Koffleute". To znaczy, że 10 lipca 1503 ukończono budowę osobnego domu dla kaznodziei niemieckiego u fary z funduszów kupców niemieckich. Dziś tablica ta znajduje się w Arcybiskupiem muzeum dyecezalnem, umieszczonem w zabudowaniach seminaryjskich, któremu ją darował czy też tylko złożył w depozycie ks. prałat Stychel. Z jednej więc strony dawniej osiadli Niemcy poznańscy w czasach Zygmuntowskich zupełnie się spolszczyli, wydając z grona swego zastęp dzielnych sług kościoła i Rzeczypospolitej, lub wybitnych uczonych i pisarzy, jako to Tomasza Tretera, sekretarza kardynała Hozyusza, Józefa Strusia, słynnego profesora w uniwersytecie padewskim, i lekarza poznańskiego, Tomasza Bedermana, sławnego filologa, pierwszego rektora szkoły Lubrańskich, biskupa Kaspra Hapa i innych, z drugiej zaś strony od czasów Zygmunta Augusta, a mianowicie od chwili sprowadzenia się Jezuitów do Poznania liczba Niemców zaczęła się u nas zmniejszać, gdyż wzmagający się za wpływem Jezuitów duch katolicki równocześnie niósł ze sobą reakcyę w formie osobistego nawet prześladowania religijnego, burzenia zborów itd., co wszystko wstrzymać musiało rodziny niemieckie, trzymające się w większej części wyznania luterskiego, od przybycia do Poznania. W jakim stosunku znajdowała się liczba Niemców do liczby Polaków w wieku XVI trudno oznaczyć, atoli z dochowanego do dziś dzień wykazu rodzin z r. 1550 umieszczonego w tabeli podatku zwanego szos mniejwięcej dojść można, iż było ich około 2500 do 3000 dusz, to znaczy, że ludność niemiecka stanowiła $^1/_8$ lub $^1/_9$ ogólnej ludności Poznania za Zygmunta Augusta. W XVII wieku liczba ta Niemców jeszcze opadła (mogła ona wynosić $^1/_{16}$ ogólnej ludności), wzrosła jednak znowu za panowania Sasów i Stanisława Augusta do $^1/_5$ ogółu ludności. Rząd pruski zajmując r. 1793 Poznań znalazł tu na 12,538 mieszkańców 7437 katolików a tem samem i Polaków, 1918 Lutrów i 115 Kalwinów, resztę stanowili Grecy i żydzi.

O tych ostatnich teraz słów kilka, gdyż żydzi mimo upośledzenia swego stali się czynnikiem w Poznaniu, który dawał powód do wiecznych skarg i zaburzeń wśród mieszczan poznańskich, a z którym jednak liczyć się musiano.

Pierwsze ślady o żydach w Poznaniu spotykamy pod sam koniec w. XIV w znanej owej historyi o trzech hostyach, w tym samym też czasie występują w aktach miejskich naturalnie w sprawach finansowych, r. 1404 już pożyczają Sędziwojowi wojewodzie kaliskiemu 17 grzywien. Jak w innych miastach tak i w Poznaniu mieli oni wyznaczoną sobie na mieszkanie osobną ulicę, zwaną sukienniczą, później żydowską. Ludność chrześciańska i magistrat stawiali im rozmaite zapory, aby lud ten nie rozszerzał się i z czasem nie pochłonął całego handlu a tem samem, aby nie podkopał pomyślności chrześcian. Walka też wrzała nieustająca między mieszkańcami miasta Poznania a żydami, która trwając aż do upadku niemal Polski kończyła się nieraz rozlewem krwi. Członkowie wszelkiego innego narodu opuściliby byli jeżeli nie kraj, to przynajmniej miasto, w którem ich okrutnie, lubo nie bez przyczyny, prześladowano. Żydzi pozostali w Poznaniu w przekonaniu, że wytrwałością, obojętnością na uciemiężenia wreszcie i swą finansową siłą pokonają swoich wrogów a nawet ducha czasu i znajdą w Polsce ziemię obiecaną. Chrześciańscy mieszkańcy ze swej strony nie ostygali w nienawiści swej ku żydom, owszem nienawiść ta z czasem jeszcze rosła. Raz poraz wznawiały się sceny krwawe; w żadne święto uroczyste nie mógł się żyd pokazać na ulicy swojej bez narażenia się na niebezpieczeństwo życia. Gromady chłopaków ulicznych, opojów itd. szarpały i poniewierały żydów pokazujących się na innych niż na swojej ulicy. W roku 1468 z powodu ognia, który u żydów wybuchnął i między innymi gmachami kościół Dominikanów wraz z klasztorem w perzynę obrócił, rzuciło się pospólstwo na domy żydowskie, złupiło je i pozbawiło kilkudziesiąt żydów życia. A lubo król Kazimierz Jagiellończyk ukarał za to miasto grzywną 2000 dukatów, przecież sceny podobne zdarzały się i później bardzo często.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Prośba.

(Na dzień 8-go września).

Panno Najświętsza na ziemi i w niebie,
Coś jest królową Polaków Korony,
Błagalne modły wznosimy do Ciebie
Wejrzyj na lud Twój, niewolą gnębiony.

✻

Przyjdź Matko nasza, pociesz Twoje dzieci,
Wlej w serca nasze nadzieję i wiarę;
Niech w nas ku Tobie miłość się roznieci,
Odwróć o Matko sprawiedliwą karę.

Wiemy, jak ciężko żeśmy zawinili
Przez popełnione w złości naszej grzechy,
Lecz winy nasze łzamiśmy już zmyli,
O spuść nam Matko, promień Twej pociechy.

✻

Ucieczko grzesznych, Jasnogórska Pani,
Zwróć oczy Twoje na polskie zagony,
Patrz, my cierpliwie, jak wierni poddani
Znosimy przykrość cierniowej korony.

W ręce Twe Pani, kładziem nasze losy,
Kto w Tobie ufa, nigdy nie zaginie;
Kiedy błagalne słyszysz nasze głosy
Racz nas pocieszyć w nieszczęścia godzinie.

✻

Rozdartej Polski nieszczęśliwe dzieci
Ogarniaj płaszczem Twej świętej opieki,
Niech przyszłość nasza jasnością zaświeci,
O chciej nam Pani być Matką na wieki!

Czesław Paluszyński.



W przededniu „świętej wojny.“

Na zachodniem wybrzeżu Marokanii krew się polała. Dawno już Marokańczycy burzyli się przeciw Europejczykom, — tu i owdzie dochodziło do zatargów krwawych, aż nareszcie miasto Casablanca stało się widownią rzezi i bombardowania.

Wrzenie trwa od lat kilkunastu. Podobno głównym kierownikiem ruchu przeciw cudzoziemcom jest jakiś Arab tajemniczy Ma-el-Ainin. Kim jest ten człowiek potężny a zagadkowy? Jeden z korespondentów podaje o nim szczegóły następujące:

„Ma-el Ainin jest reprezentantem tej potęgi, która nieraz w świecie mahometańskim objawia się zrazu jako czysto moralna i duchowa, a potem zamienia się w świecką. Nie jest on przywódcą żadnego szczepu hebrejskiego, nie posiada żadnego terytoryum, natomiast zaś jest on czemś więcej, jest władcą dusz marokańskich. Od Senegalu po Fez ma popleczników we wszystkiem mu posłusznych, w wielu okolicach może jednem słowem zgromadzić liczne tłumy wojowników pod swym sztandarem. Dla inteligencyi muzułmańskiej jest Ma-el Ainin, dzięki swemu pochodzeniu i uczoności, autorytetem; lud widzi w nim potężnego i świętego maga. Nawet sułtan Abdul Azis czci największego teologa muzułmańskiego i przyjmuje go w Fezie jak udzielnego władcę. Podróż Ma-el Ainina do Fezu w roku ubiegłym była olbrzymim pochodem tryumfalnym. Wszystkie miasta, przez które przechodził, musiały mu składać daniny i żywić jego olbrzymi orszak. Jedno tylko miasto Mogador złożyło sumę stu pięćdziesięciu tysięcy franków. Ma-el Ainin rozpoczął głosić świętą wojnę przeciw niewiernym, a fanatyczne zajścia w Casablance poprzedziła niedawna jego bytność w tem mieście. Na dowód, jak wielkie jest jego znaczenie wśród tubylców, warto przytoczyć pewien fakt. Pewnego razu banda rozbójnicza berberyjska skradła wielbłądy proroka. Ma-el Ainin posłał do nich dwóch wysłańców, żądając zwrotu zwierząt i grożąc w przeciwnym razie karą nieba. Bandyci natychmiast zwrócili wielbłądy, a później oddali nawet wielbłądy, należące do jednego z przyjaciół proroka.

Ma-el Ainin rezyduje zazwyczaj w Saguiet et Hamra. Tam ze wszech stron ochrania go pustynia, tak, iż jest prawie „niepochwytny.“ Agitacya jego, prowadzona w ostatnim czasie niestrudzenie, w połączeniu ze słabością sułtana i ogólnym zamętem w kraju, może łatwo doprowadzić do tego, że wypadki marokańskie z drobnych zaczątków rozwiną się w sprawę pierwszorzędnej doniosłości. Dlatego też Francya stawia jego banicyę jako jeden z głównych warunków uspokojenia kraju.

O bezpośrednich przyczynach krwawych wypadków w Casablance „Temps“ otrzymuje od swego korespondenta następujące szczegóły.

„W ciągu kiku lat ostatnich szczepy sąsiadujące z miastem, nieraz groziły pogromem miastu i nawet zjawiały się już pod jego murami, ostrzeliwając je bez żadnego zresztą skutku. Ostatni poważniejszy napad odbył się wiosną r. 1905, kiedy dzicy synowie pustyni zdołali owładnąć sztandarem na bramie miejskiej i ustąpili dopiero po otrzymaniu sutego okupu. Pasza w Casablance miał zawsze w swem rozporządzeniu zbyt mało żołnierzy, aby mógł skutecznie wystąpić przeciw napastnikom, i pilnując tylko murów i bram miasta, nie odważał się puszczać na jakiekolwiek wyprawy poza murami.



Port w Tangerze, najgłówniejszem mieście Marokanii.

14-go września roku zeszłego stał się fakt, który ostatecznie zdyskredytował w oczach koczowników powagę i znaczenie Europejczyków. Ów głośny obecnie Ma-el-Ainin powracał do Sahary, z Fezu, gdzie otrzymał znaczną ilość pieniędzy, broni i amunicyi, zapewniając Francyę o swej lojalności i przyjaźni, przez cały czas zbroił pokryjomu koczowników Sahary, aby w ten sposób niepokoić południowe granice posiadłości francuskich. Gdy Ma-el Ainin ze swymi „błękitnymi“ przybył do miasta Rabatu, pasza miejscowy nie pozwolił koczownikom wejść do miasta i zmusił ich do obozowania poza murami. Zażądały tego zamieszkujące w Rabacie stare rodziny arystokracyi muzułmańskiej, które obawiały się o swój dobytek.

Pasza w Casablance był mniej ostrożny i pozwolił się bandzie rozłożyć w mieście. Zuchwałe zachowanie się koczowników, grabieże, jakich jawnie dopuszczali się w mieście, spowodowały, że w warsztatach mechanicznych Francuza Lecuyera, które były kilka razy okradane, gości z Sahary przepłoszono w niezbyt uprzejmy sposób. Dowiedziawszy się o tem Ma-el Ainin, rozkazał stawić przed siebie Lecuyera żywego lub umarłego. Francuz musiał schronić się w konsulacie, ale przez kilka godzin na placach miasta odbywało się formalne polowanie i tropienie Lecuyera. Kilku Francuzów i Hiszpanów naówczas zraniono. Basza, pomimo nalegania konsulów, zachował się podczas całego zajścia zupełnie neutralnie.

Konsulowie wszystkich państw jednomyślnie wnieśli protest przeciw ówczesnemu zachowaniu się baszy i żądali odwołania go ze stanowiska w Casablance, ale protest niewiele poskutkował. Tymczasem wypadki dnia tego zupełnie pozbawiły Europejczyków w oczach tubylców tej powagi, która ich dotychczas otaczała. Wskutek bezkarnego grasowania w Casablance, wkrótce potem wynikły zaburzenia w Mogadorze i w Marakeszu, zakończone zamordowaniem lekarza francuskiego Mauchampa. I w tych wypadkach ludzie Ma-el Ainina odegrali pierwszą i najważniejszą rolę.

Bezpośrednią przyczyną rzezi była podjęta przez Francuzów budowa portu w Casablance. Plemieniom Maurów i Kabylów, zamieszkającym Maroko, zdawało się dotychczas, że z traktatu, zawartego w Algeciras, tylko punkty drugorzędne będą wprowadzone w życie, że jednak żadne z mocarstw nie odważy się na systematyczną kolonizacyę ich dzikiej ojczyzny. Budowa portu w Casablance przekonała jednak tubylców, że byli w błędzie. Zrozumieli oni, że nowy port francuski ma być podstawą operacyjną do planowej kolonizacyi Maroka, i wtedy to naczelnicy plemion oświadczyli baszy w Casablance, że nie dopuszczą do prowadzenia dalszych robót nad budową portu.

Nie czekając na odpowiedź baszy, Marokańczycy rzucili się na robotników europejskich i urządzili rzeź między nimi. Świadkowie wypadku tego opowiadają, że tłumy krajowców w okrutny sposób pastwiły się nad ofiarami. Pojmanych robotników europejskich zabijano kamieniami, rozbijano im głowy, miażdżono twarze, wybijano im oczy. Gdy ofiary nie dawały już znaku życia, rozrywano ciała na kawały i wrzucano je do morza. Zachodziły przytem rzeczy, jakich oko ludzkie jeszcze nie widziało. Wielu innych Europejczyków zmuszono, aby byli świadkami tych tortur i śmierci swoich ziomków. Na dachach domów stały kobiety marokańskie i krzykiem objawiały swoją radość z powodu mordów.

Basza w Casablance mógł niezaprzeczenie zapobiedz okropnym wypadkom. Jakkolwiek szczupłe były siły, posiadane przez niego, wystarczyły one na obronę miasta od najścia sfanatyzowanych koczowników, bez których ludność miejska sama nie odważyłaby się rozpocząć mordów. O 15 kilometrów od miasta obozuje od kilku miesięcy oddział zbrojny Mułaj-Amina, stryja sułtana, który na żądanie baszy mógł przyjść mu z odsieczą.

Ogólne jest zdanie, że jeżeliby nie zarządzono energicznych środków, zaburzenia takie, jak w Casablance, wybuchnęłyby w całym kraju. Największe niebezpieczeństwo zagraża mieszkańcom Mogadoru, około którego już uwijają się ludzie Ma-el-Ainina. W Rabacie, gdzie olbrzymia mielizna nie pozwala przybijać statkom morskim i zmusza je do zatrzymania się w znacznej odległości od wybrzeża, czyniąc w ten sposób z Rabatu miasto prawie lądowe, panuje również trwoga i niepokój, wobec złowrogich pogłosek o zamiarach ludności tubylczej.“

W odpowiedzi na rzeź, Francuzi zajęli Caseblancę, a gdy to nie uspokoiło ludności, zbombardowali miasto.

W przeddzień bombardowania część załogi okrętu francuskiego „Galilee“ wysiadła na ląd celem ochrony konsulatu francuskiego. Aby uniknąć starcia z tubylcami, żołnierze przeszli przez miasto w zwyczajnych ubraniach, ukrywając broń w tobołach. Gdy z „Galilee“ zagrzmiały działa, straż konsulatu zajęła stanowisko na płaskim dachu konsulatu, panując stamtąd nad częścią wybrzeża i dzielnicą europejską. Ale aż do wylądowania wojsk francuskich straż ta nie mogła przeciwdziałać rabunkom i łupieży.

Z chwilą rozpoczęcia bombardowania zapanowała w mieście najzupełniejsza anarchia. Okoliczne szczepy wpadły na ulice i rozpoczęły systematyczny rabunek, w którym pomagali im żołnierze z armii sułtańskiej, a nawet kobiety. Widać było tłumy, wlokące najrozmaitsze przedmioty, złupione w sklepach i domach, zdaleka dochodziły rozpaczliwe krzyki żydów mordowanych i bitych przez Arabów.

Gdzie nie mogły dosięgnąć kule karabinowe nielicznej garstki wojska francusko-hiszpańskiego, miasto było wydane na łup sfanatyzowanego tłumu. Na ulicach rozlegały się ciągle strzały. Konsul francuski doradzał konsulowi angielskiemu, aby przeniósł się do budynku francuskiego, ten jednak odrzucił propozycyę, obwarował się w konsulacie i na wszelki wypadek zniszczył księgę szyfr, zbiegów zaś odsyłał pod opiekę francuską.

Noc minęła burzliwie, strzały odzywały się co chwilę z różnych stron, z konsulatów strzelano również ciągle w ciemne ulice dla postrachu i celem zapobieżenia atakowi. Nazajutrz grabieże rozpoczęły się na nowo. Przez otwarte bramy napłynęło wielu Arabów z okolicy, którzy wraz z motłochem maurytańskim zorganizowali oddziały łupieżce, to przechodzące do ataku, to znowu stawiające zaciętą obronę. Ataki kierowały się głównie na konsulat angielski, gdzie obrona składała się z dziesięciu ludzi. Noc następna minęła względnie spokojnie, natomiast rano zawrzała około konsulatu angielskiego gwałtowna walka. Na okół miasta kręciły się tysiące konnych Arabów, nie bacząc wcale na gęsto padające z okrętów granaty.

Walka stawała się coraz zaciętsza, wynik jej coraz bardziej wątpliwy dla Europejczyków. Straże konsularne i załoga francuska przedsiębrała od czasu do czasu zbrojne wycieczki, jednakże z niewielkim skutkiem. W tej krytycznej chwili nadpłynęły francuskie okręty wojenne pod wodzą admirała Philiberta i poczęły natychmiast wysadzać na ląd piechotę.

Skoro tylko łodzie zbliżyły się do brzegu, atak arabski osłabł, tubylcy, którzy znajdowali się jeszcze na ulicach zaczęli uciekać, zanimby bramy miasta zamknięto i odcięto im odwrót. Mimo to wielu Arabów aresztowano, w tej liczbie kilku przywódców walki i grabierzy. Przez cały następny dzień widać było jeszcze na krańcach horyzontu liczne oddziały uzbrojonych tubylców; rozproszyli się oni dopiero wtedy, gdy wysadzono na ląd kawaleryę, która puściła się za nimi w pogoń. Wojska francuskie obsadziły wybrzeże, pionierzy rozbili bramy i wały obronne, artylerya kierowała



Plac targowy w Tangerze.

działa w okolicę, gdziekolwiek zebrała się większa gromada Arabów.

Tak się przedstawiają w ogólnym zarysie wypadki w Casablance. Wśród znawców stosunków afrykańskich panuje przekonanie, że są one wstępem do „wojny świętej", jaka ma niebawem wybuchnąć przeciw cudzoziemcom na całem północnem wybrzeżu Afryki.

ROLNIK.

Ludzka praca — Boża wola —
To kmieć Boży, pług i rola!
Jak po morza ziemi stało,
Pług zaorał Polskę całą!

Kmieć to polski, co nim orze,
A grunt ojców nie jałowy,
A pług wierny, bo Piastowy,
Więc pomagaj, wielki Boże!

Z pługa wyszła bojaźń Boga,
Bo człek sieje, a Bóg rodzi;
Przyjaźń ludzka wyszła z broga,
Bo przy chlebie człek się godzi.

A z poczciwej ojcowizny
Wyszła miłość do Ojczyzny,
Miłość światła i Kościoła,
Kiedy w ulu siadła pszczoła.

Z pługa poszło miłościwe
I co łaskę niebios nieci,
I co w dziejach jest poczciwe,
I co Polsce z Boga świeci!

Więc jak sądził Pan Bóg w wiecu,
Tako czyń ty, Boży kmieciu!
Ty się trzymaj pługa wiecznie:
Bo Bóg ojciec — ziemia matka!
I żywota droga gładka,
Kto na roli siadł statecznie.

Wincenty Pol.

Myśli i zdania.

Najpewniejszym środkiem uzyskania przewagi nad ludźmi i wszczepienia w nich szacunku dla siebie jest ten, aby na chwilę nawet nie wydać się im tego szacunku niegodnym.

K. Tetmajer.

* * *

Długie życie nauczyło mnie, że trzeba wiele przebaczać, ale niczego nie zapominać. *Guizot.*

Czy owoce są zdrowe?

(Pogadanka hygieniczna).

Jeszcze w zeszłem stuleciu dr. Stolpertus (1778 roku) pisał: „jakże byłoby dobrze, gdyby apteki, wyrzuciwszy za okno wszystkie swe retorty, zamieniły się w targi owoców i jagód!" Od tego czasu znacznie powiększała się i powiększa liczba lekarzów, zwracających uwagę na dodatni wpływ owoców na organizm ludzki.

Leczenie owocami niektórych chorób wątroby i śledziony było już znane jeszcze na początku zeszłego stulecia. Tak zwana kuracya winogrona praktykuje się od dawna, choć rzeczywista lecznicza siła owoców nie jest dotąd zbadana dokładnie przez medycynę współczesną. Tymczasem cytowany powyżej Stolpertus mówił o drugim współczesnym mu lekarzu, Van Sittenie, który leczył nawet ostre i nerwowe choroby, polecając chorym jeść wiśnie; mają one pomagać na największą hipohondryę. Zresztą na choroby wątroby i żółtaczkę jeszcze Hipokrates radził obficie używać białe rodzynki. Świeży sok owoców jest konieczny dla zapobieżenia od szkorbutu w podróżach morskich, co udowodniły liczne badania wypadków tej choroby. Któż nie odczuwa konieczności używania wody owocowej w chorobach febrycznych, choć mało kto tym napojom przypisuje własności leczniczej?

Jabłecznik oddawna cieszył się reputacyą środka zapobiegawczego od kamienia w żołądku. Statystyka lekarska udowadnia zależność małej ilości zapadnięć na tę chorobę w miejscowościach obfitujących w owoce, przy wielkiem spożywaniu jabłek, n. p. w Normandyi. Wspominał o tem lekarz francuski Denis-Dumont, tłómaczący pożyteczność dla zdrowia ludzkiego ich zdolnością rozwijania w żołądku tych samych chemicznych węglanów, które ukazują się przy piciu wody Vichy i podobnych.

W porównaniu z innemi owocami, najbardziej uznawaną jest lecznica siła winogron, i dla tego od dawna weszły one w użycie, jako środek systematycznej kuracyi. Lekarze tłómaczyli pierwszeństwo, które winogronom oddawano, głównie dłuższym przeciągiem czasu, w ciągu którego jest możność używania ich, gdy inne jagody w świeżem stanie mogą być konsumowane nie dłużej, niż w ciągu 2—3 tygodni w roku.

Niewielkim wyjątkiem pod tym względem są poziomki, któremi leczą w Meranie, gdzie jagody te, dzięki górzystemu położeniu dojrzewają wcześniej lub później, stosownie do różnicy wysokości gruntu, na którym rosną. Obfitość i ustawiczna świeżość poziomek w Meranie dała możność, przy ich pomocy, systematycznej kuracyi w zastarzałych katarach żołądkowych i innych chorobach.

Faktem nader charakterystycznym jest to, że żadne dzieło lekarskie dotąd nie zwróciło uwagi na zmianę warunków, jaka nastąpiła pod tym względem w ciągu ostatniego lat dziesiątka w wielu miejscowościach z powodu rozwoju komunikacyi kolejowej, ułatwiającej dostawę jagód z mniej lub więcej odległych stron.

Kwestya kuracyi owocowej w różnych chorobach nie została dotąd w dziełach lekarskich dostatecznie uwzględniona. Dla tego też sądzimy, iż nic od rzeczy było na tę tak ważną dla zdrowotności ogółu kwestyę zwrócić uwagę wszystkich nieuprzedzonych, z góry powziętemi przekonaniami.

W niemieckiej popularnej literaturze hygienicznej, która nierównie szerzej traktuje potrzeby ludności, aniżeli literatury innych krajów, ostatniemi czasy wiele pisano o pożyteczności jagód i owoców. Jeden ze znanych hygienistów niemieckich żąda nawet, by „w lecie w każdej chacie wiejskiej były ustawicznie wystawione do ogólnego użytku starych i młodych wielkie naczynia z owocami i jagodami."

Sprawy ekonomiczne.

Mleczarstwo.

Czytając często anonse w naszych gazetach znajdujemy zawsze ofiarujących posady i szukających miejsc wszelkiej branży naszego przemysłu. Lecz bardzo rzadko lub wcale nie znajdujemy posad, ani miejsc pewnej gałęzi przemysłu, która w dzisiejszych czasach stanowi poniekąd część ważną w rolnictwie. Mam na myśli *mleczarstwo.* Nawet „Straż," która wedle możności stara się naszym przemysłowcom dopomódz w osiedlaniu się, tylko raz lub dwa poszukiwała mleczarza. A przecież przemysł ten obecnie w Księstwie i Prus. Zach. kwitnie w najlepsze. Mamy dużo i dobrze prosperujących Spółek, po wsiach i dworach dzierżawców mleka, którym mleczarstwo daje pewne utrzymanie i zysk. Lecz przypatrzmy się sprawie bliżej. Kto jest dziś po miejskich Spółkach, gdzie Polacy mają większość,

kierownikiem mleczarni? Niemiec. Kto dzierżawi mleko po naszych magnackich dworach? Niemiec. Smutne to, ale prawdziwe. Mamy przecież już dziś dużo zawodowo i dobrze wykształconych mleczarzy i nie bez pieniędzy, którzy wszelkim wymaganiom podołają, a jednak tak mało posad w Księstwie i Prusach Zach. Polakami obsadzono. Dla czego? Zaczniemy od Spółek mleczarskich. Gdy ma być Walne Zebranie, na którem podług ustaw, Zarząd i Rada Nadzorcza mają być obierane, większa część Polaków nie stawia się skutkiem wrodzonej nam opieszałości. Ale za to Niemcy stawią się, niemal w komplecie, szczególnie wtenczas, gdy wiedzą, że są w mniejszości i naturalnie przeprowadzają w Zarządzie swoich. Taki zarząd, składający się z Niemców, nigdy nie przyjmie na zawiadowcę Polaka, wiem o tem z doświadczenia. Tej to naszej wygodzie najwięcej przypisać należy, że w Spółkach naszych jest tylu Niemców mleczarzy, którym posady oprócz wolnego utrzymania 2 do 3000 marek pensyi rocznie przynoszą.

My za to zadowolić się musimy zwykle podrzędnemi posadami. Powie może Szanowny Czytelnik, ale przecie nasz zawiadowca członek biegły, choć Niemiec, interes dobrze prowadzi, jakże go się pozbyć, czy lepszego dostaniemy? Znam przyjaciela, który sumiennie swój obowiązek spełnia w mleczarni, w której pomiędzy członkami jest ledwo czwarta część Niemców i to ledwo podpisać się umiejących. Owi Niemcy w tem są wszyscy zgodni, że przecież tak dobrej posady nie powinien mieć Polak, tylko Niemiec i bojkotują biednego Polaka.

Główną też wadą jest ta, że wakujące posady ogłaszane są tylko w niemieckiej gazecie mleczarskiej, więc zgłasza się wielu reflektantów Niemców a mało lub nic Polaków, to też angażują Niemca. Przecież nasze gazety chętnie takie anonse umieszczą, a nie będzie wymówek, że Polacy się nie zgłosili. Życzeniem jest naszem, ażeby Zarządy odnośnych Spółek doprawdy sprawę tę rozpatrzyły, wówczas dałby zawód mleczarski z nas niejednemu dobre utrzymanie i nie potrzebowalibyśmy, jako młodzi pomocnicy, szukać zarobku w Niemczech. Dałby Bóg, aby nie na próżno było nasze wołanie, bo znam w Spółkach tylko zawiadowców Niemców, ale nigdy by Niemcy nie zatrudniali zawiadowcy Polaka; o powód u nich nie trudno.

Mleczarz.

Dział kobiecy.

Ręce.

Ładne ręce, a mianowicie ręce kobiety, dziwny posiadają urok. Nie zawsze polega to na kształcie ręki, co jednak również bardzo jest ważnem — ale poruszenie palcy, branie lub trzymanie jakiegoś przedmiotu, a nawet pewne niedbałe opuszczenie rąk — otóż to, co stanowi główną jej piękność.

Piękne ręce mogą już być „wrodzone,“ i wtedy zachwycają w pierwszej linii zewnętrznym kształtem, można przecież osiągnąć ten sam cel starannem pielęgnowaniem ich, uwagą i cierpliwością. Najważniejszym w tym względzie warunkiem jest czystość, następnie zaś ruchy wdzięczne i naturalne. Ludzie słusznie nazywają niektóre ręce „wymownemi,“ podniesienie ręki, opuszczenie jej, żywe skinienie lub giest odpychający — wszystko to mówi nieraz wyraźniej, niż słowa.

Chcąc być piękną, musi ręka nadzwyczaj starannie być utrzymaną, chociażby nawet nosiła ślady roboty. Bo mylnem jest zdanie, że ręce mogą być piękne tylko w atmosferze lenistwa, i że ręka, która pracuje, nie może mieć pretensyi do predykatu „piękna.“ Tymczasem ręce, które nic nie robią, są rzadko rzeczywiście pięknemi, są może białe, miękkie i wypieszczone, ale nie mają charakteru, siły i świeżości, jednem słowem tego, co upiększa rękę pracującą.

Każda kobieta, nawet taka, która dużo pracuje, powinna pielęgnować ręce i unikać o ile możności bezpośredniej zmiany suchości i wilgoci, ciepła i zimna. Praca domowa wymaga tego wprawdzie, ale można się ubezpieczyć cokolwiek noszeniem rękawiczek. Ścieranie pyłu z mebli jest dla rąk szkodliwe, mianowicie dla skóry delikatnej i wrażliwej, i to zajęcie wymaga już koniecznie rękawiczek, obszernych i wygodnych.

Nie należy też nigdy zapominać o gimnastyce rąk. Codziennie po umyciu rąk i starannem otarciu, trzeba je zginać, wyginać i wyciągać, kto ma skórę twardą i ostrą, powinien wziąść trochę waseliny, lanoliny lub najlepiej kaladermy. Wilgotne ręce są zwykle dowodem jakiegoś niedomagania i należy się udać z tem do lekarza, samopomoc bowiem może tu więcej zaszkodzić niż pomódz.

Największe zaś udręczenie wielu pań, nieszczęsne czerwone ręce, są najczęściej wynikiem niedostatecznego, obiegu krwi, pochodzącego od ciasnych gorsetów, ciasnych rękawów, zbyt obcisłych bransoletek oraz pierścionków. W pierwszej więc linii wypada zbadać, czy owe czerwone ręce nie od tego wszystkiego pochodzą, przytem trzeba je myć w zimnej wodzie i gimnastykować pilnie.

Jeżeli ręka ma być piękną, to dużo staranności należy także poświęcić paznokciom. Chodzi tu głównie o umiejętne przycinanie, o polerowanie i zręczne spychanie dolnej błonki, która źle na dół ściągnięta, odstaje, pęka, brzydko wygląda i nieraz boleśnie dokucza. Każda matka powinna nadzwyczaj uważać, na to, aby dzieci paznokci nie gryzły i nie obdłubywały, bo paznokieć, który raz straci formę, raz na zawsze rękę szpeci.

Że piękność ręki podnieść i uzupełnić można pierścionkami, o tem pewnie mówić nie potrzeba. Kilka błyszczących kamieni, wytworna bransoletka i koronki — wszystko to zdobi rękę i panie wiedzą, o tem aż nadto dobrze. Tylko niektóre używają dobrego za wiele i każdy nieomal palec obciążają pierścionkami. Wygląda to śmiesznie, tak samo, jak kiedy panie noszą pierścienie herbowe. Dwa lub trzy pierścionki na czwartym i piątym palcu, to zupełnie wystarcza. Przy czerwonych lub grubych rękach trzeba być bardzo ostrożną w wyborze kamieni, strzedz się jasnych, podpadających kolorów, naprzykład turkusów, opali i brylantów, można za to używać szmaragdów i szafirów, a najlepiej pereł, które swoim delikatnym blaskiem łagodzą czerwoność skóry. Że i pierścionki i bransoletki powinny zawsze być czyste, to rzecz jasna — nie ma bowiem nic mniej estetycznego, jak zabrudzone ozdoby ręki!

Polki słyną z pięknych rąk, ale najpiękniejsze ręce w świecie mają Irlandki. Wiedzą one o tem i są dumne na swoje ręce. Opowiadają, że zmarła królowa Wiktorya nie odznaczała się pięknością rąk, które chociaż małe, miały nawet w młodości jej, za krótkie i za grube palce. Ktoś wychwalał w obecności kilku irlandzkich wieśniaczek, wdzięk i powaby młodej królowej, na co jedna z nich odrzekła:

— Cóż z tego, jestem pewna, że oddałaby wszystko, nawet tron za to, gdyby miała moje ręce!

Dziewczyna myliła się z pewnością, ale słowa jej były dowodem, jak wysokie miała pojęcie o swych pięknych rękach!

Empa.

Rozmaitości.

Czerwone plamy w pieczywie. Są bakterye, drobnoustroje, które wywołują w rozmaitych materyach ku temu podatnych dziwne zmiany. Szczególnie są bakterye takie, które mają właściwość, że mnożąc się na jakichś owocach, jarzynach lub potrawach, wywołują plamy czerwone. Opisuje to obszernie docent dr. Miche w broszurze p. t. „Bakterye i znaczenie ich w życiu praktycznem". Autor tłomaczy zarazem niektóre dziwne fakty historyczne i dawne przesądy. Oto kiedy Aleksander Wielki obległ Tyr, w obozie jego powstał wielki popłoch, gdyż pewnego dnia spostrzegli żołnierze, ku największemu przerażeniu swemu, że chleb, jaki im dano do spożycia, miał wewnątrz czerwone plamy. Uważali to za krew i wysnuwali najstraszniejsze stąd przepowiednie. Ale znalazł się dowcipny pewien kapłan, który zjawisko to wytłómaczył w ten sposób: „Dzielni Mężowie! Są znaki krwawe, to prawda, ale ponieważ są one wewnątrz chlebów, a nie na skórce, więc to znak najoczywistszy, że krew poleje się wewnątrz Tyru, a nie wśród was, którzy Tyr zdobywacie". I przekonał, i uspokoił żołnierzy Wielkiego Aleksandra.

Wiadomo, że w średnich wiekach pojawiały się nieraz czerwone plamy na hostyach, co wywoływało wśród wiernych ogromne zaniepokojenie i dawało powód do wielkich zaburzeń. A i w czasach nowszych były przywiązane do pojawienia się takich plam czerwonych (skutkiem mnożenia się bakteryi) rozmaite przesądy. W r. 1819 w okolicy Padwy, w chacie pewnego chłopa, przez dłuższy czas pojawiły się na „polencie" (ulubiona potrawa we Włoszech — mamałyga) czerwone plamy. To wywołało w całej wsi ogromne zgorszenie — i chłopa zmuszono do publicznego wyznania swych grzechów.

Nowsze badania wykazały, że plamy te, które pojawiały się od czasu do czasu na pewnych środkach pożywienia, pochodziły od małych „bakcylusów" przypadkowo tam naniesionych.

* * *

Wąż morski. Czy wąż morski istnieje rzeczywiście, czy też jest tylko tworem wyobraźni?

Marynarze i rybacy zajmujący się połowem płodów morza, twierdzą na pewno, iż niekiedy ukazuje się na powierzchni morza potwór olbrzymich rozmiarów, przez swe kształty i ruchy, węża bardzo przypominający. Sceptycy są znów zdania, iż wąż morski, takich rozmiarów, jest płodem wyobraźni biorącej ruchy fal z daleka, za dowód istnienia węża. Nauka nic o tem nie mówi, bo sama ani wprost, ani pośrednio nie dotknęła się zwierzęcia, o którem mowa. Tymczasem mnożą się spostrzeżenia dowodzące przebywania w morzu nieznanego dotychczas nauce olbrzyma. Jednem z nich jest spostrzeżenie zrobione przez L. Eosta, komendanta kanonierki francuskiej „Decidee", który twierdzi, że widział na pewno wynurzającego się z wody potwora, mającego długości 30, a największej grubości 4 do 5 metrów, z głową o szerokości 30 do 80 centymetrów i wyrzucającego w górę dwa promienie pary wodnej. Potwór ten miał skórę gładką i o ile można było o tem sądzić zdaleka, był bez pletw. Ruchy jego bardzo szybkie, odbywały się na podobieństwo węża w kierunku pionowym.

Jeżeli spostrzeżenie o wyrzucaniu pary wodnej jest prawdziwe, to ta okoliczność przemawia stanowczo przeciw temu, jakoby dostrzeżony olbrzym był wężem, wąż bowiem, jak wszystkie zresztą gady, płazy i ryby, ma temperaturę powietrza lub wody, w których przebywa, z czego wypada, iż nie może wyrzucać ze siebie pary, która dowodzi na pewno, że zwierzę je wydające, ma krew ciepłą, niezależną od otaczającego je powietrza lub wody.

Jeżeli się wreszcie ostatecznie sprawdzi istnienie węża morskiego, choćby on niekoniecznie był wężem prawdziwym, to ten twór fauny, liczyć się będzie do pozostałości po tych olbrzymach, które niegdyś zamieszkiwały kulę ziemską, a z których istnieją jeszcze tylko słoń, wieloryb i krokodyl.

Z teki tetryka.

Prawdziwy pesymista do przysłowia „Smutno jest człowiekowi być samemu" dopisze napewno: „dopóki się nie ożeni..."

* * *

Miłość jest słońcem życia: im głębiej to słońce o zachodzie zapada, tem dłuższe są cienie życia.

Przestrogi i rady.

Zaraźliwe choroby. W czasie obecnym wiele osób zapada na chorobę żołądka i kiszek, z których najczęściej wywięzuje się groźniejsza choroba, więc w myśl staropolskiego przysłowia: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże", podajemy następujące środki obrony:

1. Panujące choroby ostre żołądka i kiszek są chorobami zaraźliwemi.

2. Zarazki tych chorób nie unoszą się w powietrzu.

3. Zarazki tych chorób znajdują się w wypróżnieniach (i wymiocinach) chorych i stąd przedostają się do gruntu, do wody, na pościel, bieliznę, sprzęty, naczynia, otaczające chorego; czasem zarazki te są przenoszone przez muchy, które szczególniej przez to są szkodliwe, że zarażają pożywienie.

4. Ochronić się przed zarażeniem może każdy, kto wie gdzie się gnieździ zarazek i chce się zastosować do następujących przepisów:

I. Dbać o czystość w najszerszem tego słowa znaczeniu.

II. Jadać tylko świeże i strawne pokarmy; wódki nie pijać wcale; unikać niewywczasu, zabaw nocnych, wszelkich tłumnych zebrań.

Zdrowy żołądek najlepiej chroni od tych chorób.

III. Jaknajczęściej myć usta i ręce.

IV. Pić wodę tylko z głębokich studzien.

Ponieważ w naszych miastach takich prawie niema — wszędzie jest zła woda, ze źle urządzonych studzien w złych rezerwoarach przechowywana, więc kto może, niech pije wodę przegotowaną; kto może, to niech wogóle zamiast wody pije leciutką herbatę.

V. Mleko pijać tylko przegotowane.

VI. Nie jadać wcale surowizn, (ogórków, rzodkwi, sałaty, rzepy, marchwi).

VII. Owoce i jarzyny jadać tylko przegotowane.

VIII. Wszelkie produkty spożywcze powinny być w handlach okryte przed dotykaniem ich przez kupujących i przed muchami.

IX. Nie wychodzić z domu naczczo.

X. Dbać o czystość w najszerszem tego słowa znaczeniu

Pamiętajcie więc o tych przykazaniach i zwracajcie szczególną uwagę

na młodzież, która na nic nie zważa i je surowiznę, a potem wodę pije.

Bądźcie ostrożni. Od lat kilku w Ameryce północnej, w Stanach Zjednoczonych, buduje się kanał panamski, który ma połączyć ocean Spokojny, z oceanem Atlantyckim.

Wielu robotników od żółtej febry tam ginie, gdyż kanał ten przechodzi przez miejscowości bardzo niezdrowe, wskutek czego robota powolnie idzie. Rządowi Amerykańskiemu zależy bardzo, ze względów wojennych, aby jaknajrychlej kanał został wybudowany i dla tego rozesłał agentów po Europie, aby werbowali robotników.

W wielu krajach wiedzą ludzie, że jak który tam pojedzie, to zginie, więc nie chcą jechać.

U nas o tem nie wiedzą ludzie. Uważamy więc za święty obowiązek ostrzedz Was drodzy bracia, abyście nie łakomili się obiecywanymi dużemi zarobkami, które Was od śmierci nie uchronią, gdy dostaniecie żółtej febry.

Już od roku 1882 mordują ludzi przy tym kanale i nie mogą ukończyć swego dzieła.

Agenci zachęcając lud do wyjazdu nic o tym kanale i o Panamie, nie wspominają, tylko mówią, że potrzebują robotników do Ameryki.

Więc bracia, którzy w Ojczyźnie nie możecie znaleźć pracy i zmuszeni jesteście za morzami jej szukać, bądźcie ostrożni. Lepiej tu mniejszym kontentować się zarobkiem i być zdrowym niż na obczyźnie ginąć.

NASZE RYCINY.

Sypanie wałów obronnych na Woli w r. 1794. — Rys. J. Ryszkiewicz.

Oblężonej w roku 1794-ym Warszawy broniła ludność miejska wszelkiego stanu, nawet kobiety. Przyjeżdżały strojne damy i niejedną taczkę piasku przywiozły ich wypieszczone rączki, słowem kto żył brał się do pracy z całym zapałem i męstwem, sypiąc szańce i odpierając z wałów szczęśliwie nieprzyjaciela. A nad wszystkimi górował nasz dzielny rycerz-bohater, Tadeusz Kościuszko, mąż pracy niezmordowanej.

„Był on niespracowanym przez cały ten czas — pisze Niemcewicz — ubrany w szarą kapotę, nakształt siermięgi chłopskiej, objeżdżał na koniu wszystkie stanowiska wojska, odpisywał na wszystkie raporta, dawał rozkazy, przyjmował posłuchania i prośby, a lubo nieraz powątpiewał o szczęśliwym końcu, nic nie opuścił, coby przynajmniej walkę mogło uczynić świetną i na mogile Ojczyzny wieniec chwały zawiesić — prócz dziennych utarczek, czynił on nieraz nocne wycieczki.“

Wojsko pruskie i moskiewskie, oblegające Warszawę, liczyło przeszło 40,000 żołnierzy i 100 armat, Polacy mieli tylko 22,000 obrońców; z tych większa część była źle uzbrojoną i nieznająca ruchów wojskowych. Oblężenie zaczęło się dnia 27-go lipca a trwało do 6-go września.



Kalendarzyk historyczny.

Dnia 8 września 1514 pobicie Moskwy pod Kropiwną. — 1717 Matka Boska w Częstochowie królową Polski koronowana. — 1831 Moskale wchodzą do Warszawy.

Dnia 9 września 1688 pobicie Tatarów pod Podhajcami. — 1733 Stanisław Leszczyński przybywa do Warszawy.

Dnia 10 września 1538 potwierdzenie przywilejów dla Prus. — 1573 Henryk Walezy zaprzysięga pacta conventa. — 1831 Rybicki naczelnym wodzem.

Dnia 11 września 1621 bitwa pod Chocimem. — 1683 Jan Sobieski przechodzi wzgórza łyse pod Wiedniem. August II ustępuje Leszczyńskiemu korony. — 1792 zjazd Targowiczan w Brześciu litewskim. — 1831 bitwa pod Janowem i Wolą solecką.

Dnia 12 września 1683 obrona Wiednia przez Jana Sobieskiego. — 1733 Stanisław Leszczyński powtórnie królem obrany. — 1831 bitwy w Zduńskiej Woli i Lasku. — 1834 Akt emigracyi przeciw działaniom Czartoryskiego.

Dnia 13 września 1683 uroczysty wjazd Jana Sobieskiego do Wiednia. — 1773 zatwierdzenie pierwszego rozbioru Polski. — 1793 rozwiązanie konfederacyi targowickiej. — 1831 utarczka pod Markuszewem.

Dnia 14 września 1485 hołd Multan i Wołoszczyzny. — 1792 poselstwo Targowiczan do carycy. — 1812 Polacy w Moskwie. — 1831 bitwa pod Drzywcami.

Humor i satyra.

Aryston.

Rozgniewany ojciec do nauczyciela muzyki. — Zapłaciłem panu Bóg wie ile za lekcye, a moja córka nie zrobiła żadnego postępu... Czyjaż to wina?

Nauczyciel. — Wina instrumentu. Jest tylko jeden instrument, na którym mogłaby grać dobrze.

Ojciec. — Jaki to? Gotów jestem kupić?

Nauczyciel. — Aryston, taki co się gra na nim kręcąc korbą.

* * *

W Galicyi.

Sierżant. — Józiek! a ty gdzie idziesz?

Żołnierz. — Przynieść wody, panie sierżancie.

Sierżant. — W tych obszarpanych spodniach?

Żołnierz. — Nie, panie sierżancie; w kubełku...

* * *

Za 10 fenygów.

Właściciel teleskopu. — Proszę, moi państwo! Za 10 fenygów można obejrzeć planetę Marsa! Za 10 fen.

Osoba w podeszłym wieku, (patrząc przez teleskop). — Ola Boga! Jaka okrągła i gładziutka ta planeta!

Właściciel teleskopu. — Uprasza się łyse osoby, żeby usunęły się na bok, nie stawały przed teleskopem, i nie zasłaniały widoku!

* * *

Rozsądne listy.

Krysia. — Czy myślisz, że on cię kocha?

Klimcia. — Sama niewiem, co myśleć?

Krysia. — Czy codzień pisze?

Klimcia. — Codzień... Ale jego listy są takie rozsądne.

* * *

Historya nosa.

I.

Kiedy przyszedł na świat Dyzio,
— W jednej z naszych ślicznych wiosek,
Wszystkie córki zawołały:
— Jakiż on ma śliczny nosek.

II.

A gdy mu z czasem na wardze,
Już się puszczał puch jedwabny,
Panienki szeptały cicho:
Jakiż Dyzio nos ma zgrabny.

III.
Kawalerem nie był długo,
Wnet przez ciotki ożeniony;
Wtenczas znowu wzięto szeptać:
— Jakiż on ma nos spuszczony.

IV.
Przeszło dziesięć latek znowu,
Czas ucieka jak najęty,
I mówiono znów o Dyziu:
— Jakiż to nos wyciągnięty.

V.
Dyzio kochał swą piwniczkę,
I był do gąsiora chwacki,
Toż zaczęły panie szeptać:
— Jakiż to jest nos pijacki.

* * *

Wielkie powodzenie.

— Jakże się udała wczorajsza premiera?

— Pysznie!... Z początku zatykano sobie uszy, a potem — usta!

Łamigłówka.

Ułożył czytelnik „Pracy“ Witold z Ostrowa.

Pierwsze z drugiem człowiek znaczy,
Co się Polsce dał we znaki,
Krwią, pożogą lud sobaczy
Niszczył chaty, pola, szlaki.
Sprzęt niezbędny drugie trzecie,
Każda kuchnia go posiada,
Co się na nim robi przecie
Każden Polak to zajada.
Trzecie z drugiem można nabyć
Kiedy słota i dni drzyste,
A więc Panno bądź ostrożną,
Bo zmartwienie oczywiste.
Wszystko razem chlubą naszą,
Gdy się dobrze nam obrodzi;
Przerobionem dzieci straszą
Jak przysłowie nam dowodzi.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 14 b. m. włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie logogryfu z nr. 34-go:

Irlandya.
Dyonizy.
Zgon.
Indyk.
Świder.
Walencya.
Izba.
Tamiza.
Apolinary.
Łowicz.
Arab.
Idzi Świtała.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. M. Zawidzka, Z. Świerkowski, M. Gierłowska, L. Ludkowski, S. J. i W. Szenicówne, S. Bresiński, S. Szulc, S. Kaptur, M. Czachert, G. Lulkiewicz, J. Zielniewicz, M. Maliński, B. Andrzejewska i Janek z pod Góry Przemysława w następującym wierszyku:

Idzi Świtała pisał w obronie św. wiary
I za to skazany został na wysokie kary,
A we więzieniu do wytchnienia służyła [mu ława —
Zasłużonemu mężowi: cześć i sława!

Z prowincyi: pp. M. Robakowska i Witold z Ostrowa, W. Kaźmierski ze Śmigla, I. Prusinkiewicz i A. Grątkowska z Kościana, A. Kozłowska z Stęszewa, J. Szymański (syn) z Ostrzeszowa, A. Koczorowicz z Pobiedzisk, H. Palczewska ze Środy, Antoś i Kazio Fiedorow z Miłosławia w następującym wierszyku:

Piękna wyspa ta **Irlandya**, górzysty ma [kraj,
Mieszkańcom ziemi tej, prawdziwy ona raj.
Imię **Dyonizy** poważne ma brzmienie,
Przed śmiercią lub **zgonem** oczyść swe [sumienie.
Winem zaprawiany **indyk**, w żółtym sosie,
Jadła dawna szlachta przed czy po bigosie.
Narzędziem pytanem to **świder** napewne,
Miastem zaś w Hiszpanii, **Walencya** [zapewne.
Częścią domu **izba**, mieszkanie rodziny,
W której matka uczy pacierza dzieciny;
Nazwać mamy rzekę, która w Anglii płynie,
Wszakże to **Tamiza**, z czarnej toni słynie.
Dalsze imię męskie jest **Apolinary**,
Kto je otrzymał, opływa w ziemskie dary,
Miastem zaś w Królestwie to **Łowicz** nam [znany,
Ot i wnet spełniony logogryf zadany,
Mieszkańcem krajów wschodnich, **Arab** [opalony,
W modlitwach do Mekki twarzą pochylony,
Wyznawca proroka wołający: ałła!
Całość to redaktor nasz, **Idzi Świtała.**

W dalszym ciągu nadesłali *z prowincyi* dobre rozwiązanie: pp. M. Sławski z Wielichowa, F. Chytry z Kobylina, F. Matuszewski i S. Rychlicki z Krotoszyna, S. Mikołajczak ze Śremu, H. Werda z Wągrówca, H. Ebel z Trzemeszna, M. Adamkiewicz z Gostynia i H. Dobieliński z Rawicza w następującym wierszyku:

Znów sposobność się zdarzyła,
Co Pani Plucinska złożyła;
Jeżeli dobrze rozwiązane
I zaraz nadesłane
A w koszu zaś nie zginie
Nagroda może mnie nie minie.
Logogryf dobrze rozwiązany:
Jest redaktor już karany;
Przypomnijcie sobie sami
Ile razy siedział za kratami,
Nie za mordy lub grabierze
Tylko za to, że pacierze
Dziatkom polskim przypominał,
Prawdę w „Pracy“ zaś pisywał,
Więc niech krzyknie wiara cała,
„Górą“ nasz redaktor, pan Idzi Świtała!

Wreszcie jeszcze *z prowincyi* dobrze rozwiązali: pp. L. Gryszczyński z Ławicy, M. Otmianowski z Żrenicy, J. Szperkowski z Pożarowa, I. Seidel z Sobótki, J. Kowalski z Bagateli, T. Tybiszewski z Psarskiego, B. Ruge z Kruszewa, R. Zalisz z Sarbinowa, J. Wachowski z Niechanowa, I. Szałkowska z Kozłowa, Fr. Nawrocka z Żabiczyna, S. Pietrzak z Strzyżewa kość. Z. Jaworska z Sławska, M. Jęśkowiak z Konar, M. Wasiela z Gierlachowa, J. Sobocińska z Wielowsi, T. Wrembel z Rudek, J. Owieśniak z Łuszczanowa, D. Sławoszewski z Sławoszewa, J. Kolańczyk z Kowalewa, J. Gawrych z Młynkowa i pani L. Kwiecińska z Przybysławia w następującym wierszyku:

Przyjm to rozwiązanie,
„Praco“, dobra nasza —
Jeśli trafne — pochwal —
Jak nie — wrzuć do kosza!

Z Prus Zachodnich: W. Kubicki z Malborga, Wł. Reza i W. Ulatowska z Grudziądza, A. Galla z Subków; *z Górnego Śląska:* pp. B. Nierobisz i F. Oleszko z Wieszowej, J. Krzemieński z Miejskiej Dąbrowy i Jan Kędzior z Pszczyny w następującym wierszu:

Kiedy ujrzałem zagadkę w „Pracy“
Pani Plucińskiej Wandy z Poznania,
Wziąłem się zaraz rączo do pracy,
Niby zagadki tej rozwiązania.

I czytam pilnie i pilnie myślę,
Różnie sylaby wszystkie przestawiam!
A gdy co zgadłem to zaraz kreślę...
Nad resztą dalej się zastanawiam.

A kiedy wszystkie zgłoski skreśliłem
Więc czytam pierwsze: **Idzi Świtała!**
Z wielkiej radości aż podskoczyłem
Widząc, że sztuka mi się udała.

Ze Śląska austryackiego: pp. S. Malinowski ze Strumienia, Karol Lasar i Aloizy Kopel z Żebrzydowic; *z Galicyi:* pp. Piotr Chrostek z Łańcuta, M. Skiba z Jasła, W. Krynicki z Rzeszowa, J. Talkowski z Łąki; *z obczyzny:* pp. A. Rychter i S. Wegner z Berlina, I. Łysiak z Charlottenburga, Fr. Jakubowski z Essen, W. Prabucki z Hilden, S. Frąckowiak z Dortmundu, T. Matysiak z Horsthausen, L. Uliszewska z Bergendorfu, J. Rybak z Alstaden, I Niemyt z Hochemmerich.

Nagrodę otrzymali: pp. B. Andrzejewska z Poznania, Antoś i Kazio Fiedorow z Miłosławia, B. Dobieliński z Rawicza i Jan Kędzior z Pszczyny.

Treść: Z ojczystych stron. Lublin. — Z dziejów mieszczaństwa poznańskiego w XVI wieku. — Prośba. (Wiersz). — W przededniu „świętej wojny“. — Rolnik. (Wiersz). — Myśli i zdania. — Czy owoce są zdrowe? — Sprawy ekonomiczne. — Dział kobiecy. — Rozmaitości. — Przestrogi i rady. — Nasze ryciny. — Kalendarzyk historyczny. — Humor i satyra. — Łamigłówka.

Ilustracye: albumowa: Sypanie wałów obronnych na Woli w roku 1794. — Siedem rycin do artykułu „Lublin“. — Matka Boska z Dzieciątkiem. — Port w Tangerze. — Plac targowy w Tangerze.

Jan Andruszewski.

Na moje sumlinje!

(Dokończenie.)

X.

— Aj waj! Pan konsyliarz?!

— Piwa! Szklankę piwa, a świeże, z pod czopa?

— Nu nu! Chwała Bogu! Chwała Bogu! Ryfke! A glas świże piwe z pid czopes dla pana doktora!

Niepewną ręką poniósł doktor napój do ust i wypił go duszkiem.

Lecz nagle opadł z sił, podsycanych płomieniem gorączki.

Chwiejąc się na nogach, podszedł do krzesła koło szynkfasu. Usunął się na nie ciężko.

Aj waj Asril! Asril! Kim schnell! Es ist ihm schlecht geworden! On potrzebuje świże powietrze — on mogie umirać...

— Still! Sza und szojn! Po co takie paskudne słowo? A! pani konsyljarzowa. Dobrze, że pani przyszła, panu doktorze niedobrze się zrobił.

XI.

Posłuszny jak dziecko dał się zaprowadzić do domu.

Rozebrał się prawie sam, położył się do łóżka.

Gęsty pot znużenia drobnemi kropelkami zrosił mu czoło.

Ocierają je białe ręce żony skostniałe jeszcze ze strachu.

Senność nachodzi na rysy chorego, wyczerpane wysiłkiem.

Bezwładne powieki długiemi czarnemi rzęsami opadają mu na twarz płonącą delikatnym rumieńcem. Usnął.

Pod piecem skrzypi ława pod ciężarem moszczącego się na niej Dmytra.

Czarna, kudłata jego głowa z wybałuszonemi, głupowatemi oczami, o wyrazie niczem nie zachwianej pewności, z wyrzutem żalu patrzy w stronę młodej kobiety:

— A widzi pani, Dmytro nie żaden pijak — bełkoce ochypłym głosem — ja „zara'' mowił, że będzie dobrze, prześpi się, a potem jak ręką „odjon,'' żebym tak z tej „łauki'' wstać nie doczekał, na moje sumlinje!...

Lecz ona odwraca się od niego z odrazą.

Jego słowa brzmią jej w uszach jakimś złowrogim grzechotem. Przeczuciem kochającej kobiety wyczuwa, że ta wycieczka zaszkodzi mężowi. A to on winien, Dmytro. Nie usłuchał jej, puścił nieprzytomnego na śnieg. Nie wierzy mu teraz. Zbudziła kucharkę żandarmów — będą obie czuwały. Nie wiele ona może lepsza od Dmytra. Kochanka jego, taka sama pewnie jak i on. Dość spojrzeć w jej twarz obrzękłą od wódki, ponurą jak chmurna noc jesienna. Ale co robić? Postenführerowa już wczoraj całą noc nie spała, a i tak ledwo łazi. Żandarmów budzić? Doktora? I oni tyle nocy czuwali. Zresztą pomęczeni, służbę mają ciężką, śpią jak zabici. Do tego doktor mieszka daleko. A tak choć jakaś żywa dusza. Sama z tym chłopem boi się już... Dreszcz ją przechodzi od stóp do głowy. Lód czuje w nogach. Prawda, trzeba zmienić buciki. Przemocone zupełnie, woda w nich chlupie za każdym krokiem.

XII.

A może? I coś niby blask nadziei cichą błyskawicą przemknął po śmiertelnie bladem jej licu. Może to była kryzis, o której mówił kolega, a jutro będzie już lepiej? I dusza jej niema od trwogi i niepewności zawisła nad piersią męża, falującą nierównym, przyśpieszonym oddechem.

— — — — — — — — — — —

XIII.

— Odwagi, pani! Odwagi!

Jej wszystka krew uszła z rysów. Rozszerzone źrenice utkwiła nieruchomo w świeżej twarzy lekarza, wyszczypanej mrozem.

— Przeziębił się, zapalenie płuc w lewym dolnym płacie, rozszerza się i na prawy. Kryza przeszła, wszystko byłoby dobrze, gdyby się nie był przeziębił... A teraz druga choroba... Temperatura 38.4. Po crisis powinno być niżej 37. Serce osłabione tyfusem... Odwagi, pani...

XIV.

Przesiąknięty wilgocią, zgniły powiew szarego dnia marcowego wpada przez otwarte górą okienko.

Od białej pościeli łóżka w kącie pokoju odcinają się sinoblade, zaostrzone rysy chorego. Ciężki, przyspieszony, rzężący oddech faluje mu piersi, podnosi na niej czerwoną kołdrę. Chude, drżące ręce, poznaczone w rowki pomiędzy wystającemi ścięgnami, szukają rąk kobiecych, tulą się do nich, jakby ogrzać się chciały ich młodem ciepłem, skryć się w ich uścisku przed nachodzącem je zimnem.

Mądre, przytomne oczy, głęboko wpadłe w czarno podkrążone orbity, chłoną w siebie nikłe światło mrocznego, przedwiosennego dnia, jakby siliły się przejrzeć mglistą jego oponę, aż hen do słońca, do wiosny!...

Wiosna! Tak! Niedaleko już do niej... Zaostrzony chorobą węch wyczuwa ją w świeżym, ostrym prądzie od okna. W surowem jego tchnieniu zda się wiać zapach pąków wezbranych sokami, tętniących młodym czarem odradzającego się życia.

Ku temu prądowi odruchowo zwraca się pierś chorego.

Zna on dobrze tę woń rozmarzłej ziemi, zmieszaną z chłodem topniejących resztek śniegu. Pamięta jak jeszcze w dzieciństwie nabierała jej w siebie pełno, pełno, jak rozszerzała się od niej, jak się w niej pławiła... W powiewie jej pachnąć się zdają kwiat iwy i fiołki. Fiołki! Pierwsze, dopieroco rozkwitłe przynosił zawsze Jadwisi, w gimnazyum jeszcze, gdy biegał z chłopcami na łąki podmiejskie i potem na uniwersytecie, kiedy już byli zaręczeni. Co wiosnę przynosił jej najpierwsze.

I nagle na myśl o tych wątłych, sinych kwiatach, których zapach wiośnianem szczęściem przewijał się po złotem zaraniu jego młodości, bunt mu się budzi w piersi, przestraszny bunt człowieka w rozkwicie życia odumierającego ukochaną kobietę, wówczas, kiedy ma zostać matką jego dziecka.

Z podejrzliwością właściwą chorym odwraca się od okna i zapadnięte oczy topi badawczo w źrenicach żony, jakby los swój chciał z nich wyczytać, jakgdyby czepiał się ich ostatkiem nadziei. Lecz nie znajduje jej w nich.

Ciemno podsinione, wtopione śmiertelną trwogą w zaostrzające się z każdą chwilą jego rysy — zdają wyczuwać niewidzialne widmo krążące nad nimi, odkryć siłą się je, przejrzeć, zabić...

Wysubtelnionymi chorobą zmysłami chwyta chory ten przestrach bezradnym bolem rozpostarty u krzyża jego niemocy.

I bezsilny bunt wstaje mu w piersi, ciśnie ją, dławi bunt, świadomy całej swej męki, rzężący beznadziejną skargą... konania...

Żyć! Żyć! Za każdą cenę żyć! Nie zostawić samych tych oczu ciemno-niebieskich, głębokich jak morze, gasnących lękiem o jego życie. Nie zostawić ich samych na los niepewny, którego nie będzie mógł widzieć, o którym nie będzie nic wiedział, gdy sam będze tylko pyłem niemocnym. Żyć w ich promieniu! Pić z nich światło! Miłość pić! Na dziecko ją przelać! Dziecko z niej! Byt ludzki najpiękniejszy z bytów, królewski, boski byt u czarownych bram wszechświadomości. Kwiat bytów! Szczyt przemian odwiecznych, niepowetowany — jedyny! Wypadkowa najpotężniejszych, najrozumniejszych sił świata. Jego myśl — jego cud... A potem co? Ciemność, straszna, bierna, bezmyślna może, ciemność wieczysta!...

Żyć! Powietrza! Oddechu!

XV.

Coraz to ciężej pracuje już pierś umęczona, coraz jej trudniej zachwycić powietrza. Jakby jakaś zmora do nich przypadła, nieubłagana, tłocząca ją kirem ołowianych skrzydeł...

Człowiek walczy z nią jeszcze, odpędza od siebie resztkami tchnienia.

Znój wysiłku: drobniutkie kropelki lepkiego, zimnego potu wystąpiły mu na czole, na skroniach, na skrzydełkach nosa.

Ale mściwe widmo zawisać zdaje się nad nim nieuchwytnym, bezcielesnym, a nieodpartym upiorem. Tak! Tak! To ona! Wizya z lasu... Ot jak rozchwiewa sosnowe konary, jak z gwizdem ich leci hen z nad pól poza rzeką... W podwórze wpadła, gnie ciemne gałęzie sosny rosnącej przed domem, uderza niemi o okna. Ona! Ona! Do pokoju wciska się otwartem u góry okienkiem z ostrym, wilgotnym, niezdrowym oparem bagnisk rozmarzających pod wiosnę, z zatrutymi wyziewami niskich, dusznych chat, przesiąkniętych zarazą.

— — — — — — — — — —

Dusi go, dusi... Coraz więcej sinieje mu twarz, coraz obfitszy pot znoju opływa mu rysy.

— — — — — — — — — —

Cała świadomość jego oczu tonie teraz w rozszerzonych nieruchomo, na pół przytomnych źrenicach żony, jak kwiaty więdnące jesienią toną w łunie wieczoru, wmodlone w ostatni błysk zachodzącego słońca.

I zwolna, zwolna, ocz te mętniejące niby mgłą senną — zdają się topić, rozpływać w przesmutnej zorzy tej duszy kobiecej, wpatrzonej w drogie jej życie, jak rozbitek spogląda na kształt łodzi, co niknie w nieskończoności odmętu.

— — — — — — — — — —

Cichnie pierś rzężąca, nie walczy już, nie szamoce się. Coraz to słabiej faluje na niej czerwona kołdra, coraz słabiej — słabiej.

— — — — — — — — — —

I krąg wzroku gasnącego zacieśnia się z każdą chwilą, mroczy, przesłania...

Już w tym mroku nie widzi nic, tylko dwie gwiazdy oczu kobiecych płonące mu niby światła, drogowskazy dziwnych dróg, nieznanych żyjącym.

Ostatnim odruchem uchodzącego życia poruszyły się jeszcze pobielałe rąbki stygnących warg:

— Powinni tobie... jemu... pensyę...

Dziki błysk nieludzkiego obłędnego bolu rozwarł jeszcze szerzej nieprzytomne prawie oczy kobiece.

I znów ledwie dostrzegalne drgienie niemiejących ust. Ale już szept z nich nie wyszedł.

Skonała na nich niedokończona myśl, myśl po drodze do duszy kobiety, pod której sercem drga przedłużenie ziemskiego jej bytu.

XVI.

I znowu cisza, wielka cisza w pokoju.

Przed łóżkiem w rogu izby klęczy postać kobieca.

Jasna jej głowa złotą plamą przylgnęła do kołdry czerwonej, jakby przytłoczona ciężarem włosów i życia.

Białe dłonie cisną, tulą wychudłą rękę pozapadaną w rowki, stygnącą bezwładem. Dokoła wszystko jak martwe, skamieniałe, zastygłe... Nawet zegarek na stole nie nakręcony od wczoraj przestał miarowo tykotać. Tylko od czasu do czasu wiatr skrzypnie otwartem u góry okienkiem lub płatek śniegu wleci przez nie do izby.

— — — — — — — — — — —

XVII.

Zatupotały w sieniach ciężko podkute buty i drzwi pokoju rozwarły się z hałasem.

Wpada przez nie fala wichru, żeniąc na pokój tumanem śnieżycy.

— — — — — — — — — — —

Jak ze snu letargicznego zbudzona, dźwiga się od łóżka głowa kobiety, odwraca się ku drzwiom.

U progu stoi Dmytro.

Z szerokiej, czerwonej jego twarzy, apatycznie patrzą wybałuszone oczy.

Grube, czerwone ręce przyciskają do piersi powróz którym związał w „oberemek“ drzewo na plecach. Przyszedł napalić w piecu.

Lecz nagle stanął jak wryty, jakby przykuty do podłogi wzrokiem kobiecym, utkwionym w nim nieruchomo, zmartwiałym, na pół tylko świadomym.

I stoi tak w drzwiach rozwartych, owiany ostrą falą przeciągu, osypany śniegiem.

Od białych jego płatów odbijają złowrogo czarne kudły chłopa zwichrzone, przylepłe do policzków, do czoła.

— — — — — — — — — — —

On stoi przygięty ciężkim „oberemkiem“ drzewa, niby porażony wyrazem wpatrzonych weń źrenic, niezdecydowany, jakby wahał się, co ma robić, jakby czekał czyjegoś rozkazu.

Tylko olbrzymie, czerwone jego ręce coraz silniej wciskają sznur w szeroką pierś, jak gdyby kajać się chciał tym gestem, jak gdyby nim mówił: „Tak „musi“ — było pisane — tak widno było sądzone — na moje sumlinie!“

— — — — — — — — — — —

Do pokoju wpada z gwizdem tuman śnieżycy, wicher targa, skrzypi otwartem u góry okienkiem dawnego karczmiska.

— — — — — — — — — — —